Potocki – skargi

s. 16 Szczęsny

19

21/2 } Zoś – dziennik

22/3 }

23/4 — p. Badeniowa

30/1

32

33

35/6

37

38

40/1

43

63/4

65

73 2x

DYKTERYJKI I FACECJE

Z DAWNYCH CZASÓW

WYBÓR I PRZEDMOWA

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

LWÓW 1921.
SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE".

„Przyjdzie do ciebie przyjaciel, azaż to nie rozkosz, gdy się z nim namówisz, naśmiejesz, a on ci będzie powiadał przygody, a przypadki ludzkie...“
Rej, Żywot człowieka poczciwego.

Ze starym dowcipem inaczej, jak z winem starem. Albowiem wietrzeje z biegiem czasu i traci barwę. W dowcipach myszka rzadko popłaca. Dlatego tak trudno dziś staropolskim dykteryjkom i facecjom odzyskać owe dostojne miejsce, które dzierżyły ongi w życiu, śmiesząc do rozpuku brać szlachecką. W „silwach rerum“ i raptularzach przechowywane jak relikwje. A Polacy mieli zdawna sławę narodu dowcipnego. Na szukaniu i tworzeniu wesołości spływał im „żywot poczciwy“, którego okrasą najmilszą były psie figle i duby smalone. Naczelną ambicją dawnej sztuki pisarskiej, głównem zadaniem literatury było — uweselić czytelnika. Pierwszy druk, od którego zaczęła się literatura, jedna z najpierwszych książek polskich, była dziełem humorystycznem: „Rozmowy Salomona z Marchołtem“. Lub ten słoneczny jowjalista Rej! Trzeba sobie uświadomić, że każde słowo pradziadka literatury, dziś dla nas naiwne, często arcynudne lub rubaszne przyprawiało ludzi współczesnych o spazmy śmiechu.

Więc kiedy wziąć do rąk owe nieprzeliczone foljanty fraszek, dykteryjek i figlików — żal bierze, że się wraz z nimi nie śmiejemy. I dziw nam nawet, że to się wtedy wogóle dowcipem wydawało. Słoneczna jowjalność ludzi jagiellońskich już nam nie wystarcza. Bo mieli więcej humoru, jak dowcipu. I byli mało wybredni, kontentując się lada zręczniejszem słówkiem, z którego weselili się tak, jak później ludzi romantyzmu byle czulsze wyrażenie o łzy przyprawiało. Humor piastowski i jagielloński jest dziś dla sfer szerokich także często *chiffre indechifrable*, jest księgą zapisaną literami, które zatarł czas i odległość dziejowa. A czasem wyda się już tylko naiwną pustotą pokoju dzie-

cinnego! Anegdota współczesna innemi rządzi się prawami, oraz innych *point* szuka. I rzadko tylko, w świetnej oprawie Kochanowskiego czy Wacława Potockiego ich żart nie traci wartości i jest nadal — tynfa wart.

Zato tem jaśniej opromienia nas bujna i huczna pełnia wesołego życia, oblana słońcem humoru i lekkomyślnej beztroski i drżąca śmiechem na całe, podlane miodem gardło. Pocóż zresztą żądać od brata szlachcica z czasów saskich, by silił się zabawiać nas swą niewybredną dykteryjką, skoro on sam, z postaci i życia — stał się jedną, żywą, stokroć lepszą od wymyślonych facecją?

Nie umiemy n. p. wskazać choćby dwóch naprawdę autentycznych dowcipów słynnej p. Kossakowskiej, lecz cóż z tego, gdy cała jej postać spowita jest tkaniną przepysznej jowjalności. Podobnie Radziwiłł „Panie Kochanku“, gdy mu się przejrzeć zbliska, gdy czytać jego małe zmyślne epistoły, nie wydaje się wcale takim wesołym jowjalistą, humoru dodaje mu dopiero legenda.

Już łatwiej dzielą się z nami humorem czasy nowsze, rozbiorowe i porozbiorowe. Nietylko dlatego, że są bliższe i zrozumialsze, lecz i przez to, że ludzie tej epoki nauczyli się chronić klejnoty dowcipu od zatraty. Umieli je zapisywać i przekazywać potomnym. Nie ubierali każdej jowjalności koniecznie, tak jak dawniej w rymy, przez co traciła rozmach i *vim comicam.*

Z tych to czasów nowszych, rokokowych, napoleońskich i księstwa warszawskiego, zebrana jest niniejsza wiązanka anegdot.

Uzbierano ją przeważnie w starych pamiętnikach i wspomnieniach, kładąc równy nacisk na dykteryjki, które już współcześnie jako takie krążyły, jak też doliczając z dziejów rzeczywistych zdarzenia, które wesołością swą za najlepszą zmyśloną anegdotę starczą. A czasem rzucą snop światła na postać historyczną, skądinąd znaną. Wydawca starał się unikać powtarzania anegdot oklepanych, a raczej sięgał w wyborze do źródeł i autorów mniej znanych.

Stanisław Wasylewski.

Bim, bim, bim!

Ujechawszy trzy mile od Krzemieńca — opowiada Fr. Kowalski — zatrzymaliśmy się przy jednej porządnej karczmie, niby oberży w lesie. Wtem otwierają się drzwi i wchodzi jakiś niestary jeszcze człowiek w liberji, w płaszczu lokajskim, w kapeluszu galonowanym, wyraźnie czyjś lokaj. Pokorne jego wejrzenie świadczyło iż czuł jakąś dolegliwość albo szukał służby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — obracając się ku nam wymówił te słowa z pokorą.

— Na wieki, wieków! — odpowiedzieliśmy. Żyd na przybylca spojrżał z pogardą. Lokaj usiadł za stołem i nastąpiło milczenie. Mieliśmy już wychodzić, kiedy między nim a żydem zawiązał się ciekawy dialog, który nas jeszcze zatrzymał.

— A skąd Aspan? — zapytał go żyd, chodząc po izbie z rękami za pasem.

— Ot, ja z Zahajec, od pana marszałka Bobra — odpowiedział lokaj.

— A gdzież Aspan idziesz?

— Idę sobie szukać służby, bo mnie pan Bóbr odprawił.

— Aj waj! A to za czege pan Bóbr Aspana odprawił?

— Że ja niechcący, przypadkiem, nieszczęściem, rozbiłem wielki szklanny wazon.

— Herste! a to na czege Aspan rozbił tege wazon? he?

— A cóż, panie arendarzu: nieszczęście tak chciało.

— Ale Aspan już stary człowiek; to bardzo źle: bim, bim, bim.

— I bardzo źle, bo mię pan Bóbr wypędził, nic nie dał i ja od wczoraj jeszcze nic nie miałem w gębie i strasznie głodny jestem; a tu ani grosza nie mam.

— Aj waj — z szyderstwem żyd mówi z nim dalej. — To Aspan będziesz może cô jadł? to ja Aspanu każę dać.

— Jeśli łaska, panie arendarzu.

— Może Aspanu dać tak naprzykład barszcz, dobry, tłusty, zabielany? he?

— A dobrze, panie arendarzu.

— A kiedy już niema! zjedli, bim, bim, bim — i chodzi sobie dalej bimbując.

— A może Aspan tak naprzyklad lubisz, naprzyklad, dobry sztuka mięs? to ja każę dać.

— Proszę pana arendarza.

— A kiedy niema: bim, bim, bim. A może Aspan tak naprzyklad dobrą pieczeń, naprzyklad tak wołową? he?

— Proszę pana Arendarza.

— A kiedy niema: bim, bim, bim. A może Aspan tak naprzyklad, pieczonego indyka, tak naprzykład, albo kurę, albo kuropatwę tak naprzykład?

— Proszę pana arendarza.

— A kiedy niema: bim, bim, bim. A może Aspan tak naprzyklad dobrego wina? tak naprzyklad węgierskiege albo francuskiege, tak naprzyklad?

— Proszę pana arendarza — z pokorą mówi lokaj, a my słuchamy ciekawie na czem się ten obiad skończy.

— A kiedy niema, bim, bim, bim. A może Aspan kawy czarnej naprzyklad?

Wtem zahurkotał i stanął przed karczmą kocz piękny, ale próżny bez pana i lokaj od powozu porządnie ubrany wszedł do izby, zdjął kapelusz przed znajomym już nam pokornym gościem, którego żyd tak sutym uraczył obiadem i przemówił z uszanowaniem:

— Już, Jaśnie Wielmożny Panie, gotowe.

— Cóż? orczyk zrobiony? — zapytał nasz gość.

— Jest, JWPanie; Mateusz nowy zrobił w tym lesie. Może JWPan każe tu sobie co zrobić jeść? bo i kuchnia przyszła.

— Nie trzeba; łaskawy pan arendarz do syta mię nakarmił. Zjadłem u niego porządny obiad z winem i czarną kawą. — Mówiąc to zrzucił z siebie lokajski płaszcz i po-

kazał się zdumionym oczom żyda i naszym, w pięknej granatowej czamarze. Przez ten czas arystokrata żyd przestawszy bimbować, „aj waj! aj waj!... wusys? Jaśnie Panie? aj waj!“ wybąknął z podziwieniem i przestrachem; zdjął z głowy czapkę drżącą ręką i odsuwając się tyłem, stanął w kącie izby jak odurzony. My z ciekawością czekaliśmy końca tej sceny.

— Weź sobie swój płaszcz Janie, a daj mi kredy kawałek — rzekł pan, oddając mu płaszcz.

Lokaj szukał kredy w kieszeni, ale nie znalazł.

— Miałem w kieszeni kawałek, ale nie wiem gdzie mi wypadł — odpowiedział.

— Ja dam, ja dam kredki Jaśnie Panu — podbiegł żyd z nadskakiwaniem i położył na stole przed panem kredy kawałek.

— Dziękuję ci panie arendarzu żeś tak grzeczny — powiedział pan — bo ja jestem bardzo rzetelny i akuratny człowiek i nie chcę odjeżdżać nie obrachowawszy się z panem arendarzem i nie zapłaciwszy.

— A za czege Jaśnie Panie ma placyć?

— A za twój smaczny obiad.

— Herste? za tege obiad? i at! a tege na czege Jaśnie Panie? niech już tak będzie; Jaśnie Panie żartuje zdrów.

— Nie żartuję doprawdy, muszę się obrachować i zapłacić, abym łaskawemu panu arendarzowi nie był dłużny.

— I at! A to na czege tege placyć? Niech już sobie tak będzie, Jaśnie Panie.

— To jakże? to będzie darmo?

— Darmo, darmo, Jaśnie Panie.

— A to ja pierwszy raz w życiu widzę tak grzecznego arendarza, co nie chce pieniędzy za jedzenie! Ale ja na to nie pozwolę i muszę zapłacić, bo to byłoby dla ciebie krzywdą. No, mówże kochany panie arendarzu, naprzód, co za barszcz? — zapytał go pan, zabierając się do rachunku.

— I at, Jaśnie Panie! to darmo, Jaśnie Panie.

— Ale nie darmo panie arendarzu, bo ja darmo nic nie chcę i miałbym sobie na sumieniu, gdybym ci nie zapłacił; barszcz taki smaczny, tłusty, zabielany, jaki ja zawsze lubię. No, cóż za barszcz? gadaj kochany panie arendarzu?

— Aj waj! Ja gadam Jaśnie Panu, że nic? herste?

— Powtarzam ci, że ja nic darmo nie chcę, ale zawsze płacę i to gotówką, a że mi nie mówisz co za barszcz, to ja sam położę najsumienniejszą cenę. Niech będzie za barszcz tak naprzykład trzy złote — i pisze na stole kredką liczbę 3.

— Aj waj! a tege na czege tege wszystkiege, Jaśnie Panie?

— Dalej... za sztuka mięs, wiele?

— Na czege tege wszystkiege, Jaśnie Panie?

— Ale ja chcę porachować i zapłacić; niech będzie dwa złote.

— Ja nie chcę Jaśnie Panie, bo to na czege?

— Może to za mało, to ja położę trzy złote.

— A na czege? niech już będzie dwa, jak Jaśnie Pan napisał. Aj waj! herste?

— No to jak chcesz, niech zostanie dwa. A za leguminę?

— Herste? a Jaśnie Pan zapłaci?

— Naturalnie, że zapłacę, powiadam ci. Cóż za leguminę tak naprzykład? he? a tak była smaczna i doskonale zrobiona!

— To niech już Jaśnie Pan sam napisze, herste?

— Za leguminę niech będzie tak naprzykład: dwa złote.

— Aj waj! na czege tege wszystkiege?

Żyd tedy zaczął myśleć, że mu pan doprawdy zapłaci; podczas tego obrachunku wszedł do izby wiernik arendarza, jego żona i kilka bachurów. Wszyscy byli ciekawi — i my, na czem to się skończy.

— Dalej za indyka, co był tak wyborny! tak naprzykład, złotych cztery. Za kuropatwy, tak naprzykład złotych trzy; to nie będzie krzywda panie arendarzu?

— I at! Jaśnie Panie, nie będzie, nie będzie. Jaśnie Panie i tak już wiele pisze, a na czege tege wszystkiege?

— A za wino wyborne węgierskie? a ja tak lubię Węgra! Co? wiele napisać! Wypiłem spory kielich.

— Niech Jaśnie Pan sam napisze, herste?

— No to niech będzie tak naprzykład dziesięć złotych. Otóż i wszystko; a teraz porachujemy. Barszcz 3 złt., sztuka mięsa 2, legumina 2, indyk 4, kuropatwa 3, wino 10 złt., razem, trzy a dwa mamy pięć, a dwa to siedm, a cztery to jedenaście, a trzy to czternaście, a dziesięć to dwadzieścia i cztery złote. Zaraz ci zapłacę i jadę, bo nie mam czasu. Aha! a jeszcze za kawę! Taka doskonała czarna kawa! Wieleż za kawę?

— Jaśnie Panie żartuje sobie zdrów; na czege tege Jaśnie Panie?

— Za kawę niech będzie tak naprzykład... złoty jeden.

— Aj waj! herste? a na czege tege wszystkiege? Jaśnie Panie żartuje.

— Nie żartuję i zapłacę tak naprzykład, dwadzieścia pięć złotych i to zaraz gotówką.

To mówiąc dobył z kieszeni woreczka i wysypał na stół drobną srebrną monetę; przeliczył, ale nie było dwudziestu pięciu złotych.

— Janku, — zawołał — pójdź-no do kozaka, niech mi przyniesie grubszą monetę, co to on ma zawsze przy sobie; i ty sam przyjdź i Bartek niech przyjdzie.

— I at! na czege tege wszystkiege Jaśnie Panie, ja nie chcę tege zapłaty; dosyć i tege co Jaśnie Panie ma w tege sakiewki, mówił żyd po wyjściu Janka, uśmiechając się; a wiernik ze swoją żydowicą i bachurami cieszył się, że daremniusieńko wezmą tyle pieniędzy razem.

Aż tu wchodzi do izby ogromnego wzrostu kozaczysko, ze straszliwemi wąsami, ubrane z całą kozaczą wykwintnością, trzymając w ręku nahajkę, ale uczciwą, co się zowie, nahajkę.

— A komu-to bat'ko chocze płatyty? — zapytał po rusku.

— Oto temu dobremu arendarzowi za obiad — odpowiedział pan.

— A kilkoż jemu zapłatyty?

— Dwadciat‘ piat‘ zołotych.

— Zaraz bat‘ku.

Trudno, niepodobna opisać krzyk, hałas, kweres, jęk, pisk całego żydostwa, jak Janek z Bartkiem porwali pana żyda arystokratę za barki, obalili na ziemię, a kozak sprężystą nahajką zaczął mu wypłacać dług pański. Był to sądny dzień, zburzenie Jerozolimy. Kozak dobrą monetę dobitnie wyliczał raz, dwa, trzy, aż do dwudziestu pięciu, a biedny gospodarz za każdym razem nic, tylko aj waj! aj waj! Po skończonej wypłacie pan jeszcze pięknie żydowi podziękował za smaczny obiad, nam się ukłonił i wyszedł, a my za nim, nie mogąc rady sobie dać ze śmiechu!

(FR. KOWALSKI.)

Jak Napoleon uciekł do Brodów z wyspy św. Heleny.

Pan J. Sagatyński podczas pobytu swego we Lwowie na początku XIX. stulecia, żył w ścisłej przyjaźni ze starostą Antonim Dulskim. Dobry to był człowiek, najuniżeńszy sługa swojej żony i samowładnej pani.

Pewnego dnia przyszedłem — powiada p. Sagatyński — do państwa Dulskich. Tylko com wstąpił na schody, słyszę, że ktoś z pośpiechem zbiega na dół. Mąż to uciekał, a jejmość stojąc w sieni na pierwszem piętrze, wykrzykiwała na niego: próżniaku! niezdaro! niedołęgo! i td.

— „Panie Janie, zmiłuj się, ratuj mię, zawołał starosta; powiedz co mojej żonie, uspokój ją. Od trzech dni szatan ją opętał i nie mam ani jednej chwili spokojnej; cały dom przewróciła z gruntu.“

Uzbroiwszy się w odwagę, idę na górę. Pani starościna jeszcze stała we drzwiach przedpokoju.

— Witam łaskawą panią — rzekłem — przychodzę z wielką i bardzo ważną wiadomością.

— Co mi tam po waszych wiadomościach! krzyknęła. Przychodzisz z głupiemi plotkami durzyć i bałamucić mego męża! Obadwa jesteście hultaje, łotry, próżniaki! Oto zamiast zbierania jakichś wiadomości, pilnowalibyście raczej waszych interesów.

Gdy tak pani starościna wygadywała na mnie, zmyślałem co tu zrobić. Wiedziałem, że jest wielbicielką Napoleona, a nie cierpi Ormian lwowskich; miała bowiem kamienicę we Lwowie i o najęcie sklepu pokłóciła się z jednym kupcem ormiańskim tak, że przyszło do procesu o obelgi i wzajemne pretensje. Postanowiłem dobry uczy-

nek wykonać, pogodzić ją z Ormianami i rozprószyć zły humor.

— Wielka i ważna wiadomość pani starościno! powtórzyłem mocnym głosem: Napoleon ujechał z wyspy św. Heleny.

Te słowa czarodziejski skutek wywarły. Gniew pani Dulskiej zgasł w mgnieniu oka.

— Panie Janie! proszę cię, proszę, rzekła. Wszedłem za nią do bawialnego pokoju; usiadłem na krześle, udając żem niezmiernie przerażony i wzruszony.

— Jakto? Napoleon ujechał z wyspy św. Heleny? Już go tam niema? Proszę cię, powiedz jak się to stało? Mów, czem prędzej!

— Ach! niechże mi pani pozwoli odetchnąć trochę. Tak jestem przerażony! tak zmartwiony. Czyliż po tylu latach zażyłej przyjaźni, mogłem spodziewać się od pani starościny takiego przyjęcia, takich wymówek, takich obelg?

— Przepraszam cię! przepraszam! kochany panie Janie, rzekła, ściskając mię za rękę. Ty mię znasz, że jestem trochę prędka, ale zawsze cię poważam i lubię. A jakże Napoleon? Napoleon?

— Zaraz, zaraz. W głowie mi się mąci, nie mogę przyjść do siebie. Ja mam słabe nerwy, to każda taka kłótnia domowa...

— No, no, uspokój się... Może napijesz się wody z cukrem, albo z sokiem? Może kieliszek wina?

Zerwała się z krzesła i wybiegłszy do drugiego pokoju, krzyknęła na całe gardło:

— Hej, Kasiu! Antosiu! Janie! prędzej! wody! wina szklanek!

Garderobiana przybiegła zatrwożona, rozumiejąc, że ktoś zemdlał.

— Ale Napoleon? Napoleon? — gadajże na miłość Boską.

— Napoleona niema na wyspie św. Heleny, ujechał.

— Jakim sposobem? Któż go uwolnił?

— Ormianie!

— Jakto? ci kramarze? filuci?

— Tak jest, pani starościno. Oni do takich rzeczy najzręczniejsi; za pieniądze wszystko zrobią.

— Ale jakże to było?

— Oto tak. Bracia cesarza ugodzili się z Ormianami, że im dadzą 50 tysięcy talarów za uwolnienie Napoleona i zawarli o to urzędowy kontrakt przed notarjuszem w Brodach, ale w sekrecie wielkim i dali zadatku 10 tysięcy talarów. Ormianie upatrzyli noc niezmiernie ciemną, ale to tak, że o dwa kroki nie było widać człowieka. Pocichu podjechali pod św. Helenę, brodzką bryką, w trzy dobre konie i stanęli tak, że wiatr nie od nich, ale do nich szedł od mieszkania Napoleona. Jeden z nich podsunął się pod okna gabinetu. Zajrzał w okno, a właśnie Napoleon czytał książkę. Zapukał umówionym oddawna sposobem. Napoleon wstał i otworzył okno. Ormianin rzekł:

— Teraz czas, niech Wasza Cesarska Mość wyjdzie oknem i ujeżdża, wszystko gotowe.

I tak się stało. Ormianin był to silny człowiek, wziął Napoleona na ręce i zaniósł do bryki. Wsiedli obadwa, woźnica ruszył z początku wolnusieńko, a potem najtęższym kłusem. Kiedy Anglicy spostrzegli się, już było za późno. I tak szczęśliwie udał się im ten zamiar.

— A gdzież on jest teraz?

— W Berdyczowie, pani dobrodziejko. Wystaw sobie pani starościno, że tak mieli dzielne konie i tak lecieli, że tylko trzy razy popasali i jeden tylko nocleg odbyli od św. Heleny aż na miejsce.

Pani starościna nie była biegła w geografji i dobrodusznie uwierzyła moim słowom.

— I cóż on robi? zapytała.

— Mieszka w Berdyczowie, mościa dobrodziejko, u Grzegorza Jarmułowicza, najbogatszego kupca w tem mieście. Ale za parę dni wybiera się do Paryża.

— Kiedy tak, pogodzę się z Ormianami i daruję im wszystkie moje krzywdy. Jeśli zechcą, to im wynajmę sklep, który już od roku stoi próżny, bom się zaklęła, że go żadnemu z nich nie wypuszczę.

Od tej chwili, pani starościna była w jak najlepszym humorze. Każdemu rozpowiadała o ucieczce Napoleona, a mianowicie oficjalistom austrjackim. Prawda wykazała się niezadługo i wszystko byłoby skrupiło się na mnie, lecz właśnie już byłem na wyjezdnem ze Lwowa do Warszawy i mogłem się nie lękać gniewu pani starościny.

(F. DMOCHOWSKI.)

Ksiądz kapucyn z Uściługa.

...Przed obiadem — opowiada w swym pamiętniku Fr. Kowalski — kiedyśmy mieli siadać do stołu, przyjechał ksiądz z Uściługa po kweście; jakiś nowy ksiądz, nikomu nieznajomy, średnich lat i przyjemnego oblicza. Był on rodem, jakieśmy się potem dowiedzieli Niemiec i wstąpił niedawno do Kapucynów uściłuskich; a że księża Kapucyni jako zakon żebrzący, koleją po kweście jeździli, więc i na niego wkrótce kolej przypadła. Próżno się biedak, nie umiejący po polsku, od tej przejażdżki wykręcał i wypraszał, bo co i jak miał mówić w domach polskich aby był zrozumiany? Ale nic nie pomogło, musiał jechać. A że po polsku ani słowa nie umiał, więc go księża braciszkowie pouczyli co i jak miał mówić; kazali mu spisać całą rozmowę polską, pytania i odpowiedzi, oraz stosowne instrukcje względem kwesty i znalezienia się w domach. Przykazano surowo, by się tego wszystkiego nauczył napamięć. Biedny niemczura wybębnił instrukcję napamięć, ale nie rozumiejąc polskich wyrazów, pomieszał to wszystko razem: instrukcje, mniemane pytania i odpowiedzi. Wszedłszy tedy do sali skłonił się i niemieckim akcentem recytował bez tchu:

— Jak wejdziesz do pokoju ukłoń się z pokorą i powidz, niek bęzie pokwalony Jezus Kristus, a tobie odpowiezą na wieki wiekow amen; potem ciebie spitają a skąd ksiąs, powisz z Usciluka; spitają a co ksiąs poczebuje, powiesz nasz konwent prosi o barana; spitają a jeszcze czego, powisz i jaką faseczkę masła; powiedzą dobrze księżuniu, może ksiąs napije się wodeczki, powisz jeśli laska; potem powiedzą może ksiąs zje obiadek, powisz jeśli laska, dziękuję i usiądź na kseselku.

Skończył ksiądz i usiadł; kobiety jak mogły wstrzymywały się od śmiechu, my poznawszy w nim Niemca, który po polsku nie umiał, zaczęliśmy z nim po niemiecku jak kto mógł rozmawiać, co go mocno ucieszyło. Stary pan Miaskowski w wesołym humorze uściskał księdza kwestarza, zatrzymał go na obiad, nakarmił, napoił i sowicie konwent obdarzył.

(FR. KOWALSKI.)

* * *

O trzech mnichach i jednem jaju.

Raz zjechali się na popas w karczmie Jezuita, Dominikanin i Bernardyn. Wszystkim chciało się jeść niezmiernie, a jak to zwykle po naszych karczmach bywa, nie było czem ani ptaka pożywić. Ale fortuna im się uśmiechnęła: kura jajo zniosła. „*Bonum omen!* zawołali, może Opatrzność chce nas nakarmić, jak niegdyś kilka tysięcy ludzi siedmią chleba i dwoma rybami." Kazali więc jajo gotować, a gdy już ugotowano i podano, rozmyślali jak też jajo na trzy równe części podzielić. Jezuita wnosił, żeby podzielić na cztery i jemu, jako starszemu zakonem dać dwie ćwiartki; lecz Dominikanin utrzymywał, że *Ordo predicatorum* jest dawniejszy; a na to Bernardyn zaproponował, że kto powie najstosowniejsze *dictum* z ewangelji lub z jakiego obrządku wiary świętej, ten całe jajo dostanie. Jezuita i Dominikanin, równie dobrze rozumieli o swojej mądrości, o Bernardynie zaś, pewni będąc, że niedorzeczność powie, myśleli sobie, że w najgorszym razie, jeśli obadwa zarówno mądrze powiedzą, to po pół jaja dostaną, a Bernardyn ani powącha — przystali więc na projekt.

Najpierwszy zatem wziął Jezuita; stłukł jajo i obłupując ze skórki rzekł: *Egrede ex domicilio tuo;* poczem podał Dominikanowi, a ten wziąwszy szczyptę soli mówił: *Accipe salem sapientiae* i podał Bernardynowi; ten zaś przeżegnawszy się rzekł: *Consumatum est* i połknął.

* * *

Figel brzuchomowcy z Lublina.

Głośną w kraju całym w początkach panowania Mikołaja I. była facecja Kosińskiego, słynnego wówczas brzuchomowcy. Posiadał on niepospolity talent nietylko naśladowania głosów rozmaitych i przenoszenia ich, gdzie mu się podobało, ale obdarzony też był muskułami twarzy tak ruchliwemi, iż w jednej chwili odmieniał do niepoznania fizjognomję swoją. Mieszkał zwykle na wsi, dość często jednak przyjeżdżał do Lublina, gdzie miał ulubioną kawiarnię, która bywała zwykłem polem jego akustycznych i mimicznych popisów. Jedną z ulubionych jego zabaw, była rozmowa z psem faworytem, tak utresowanym, iż na dane przez pana hasło ruszał wargami, jak gdyby mówił. Ilekroć w kawiarni dużo się zbierze obcych, Kosiński, zapytując o cokolwiek swego pudla, który począł ruszać wargami, odpowiada zań głosem zmienionym, taki nadając mu kierunek, iż wyraźnie z psiej mordy wychodził. Otóż na podobnem przedstawieniu znalazł się raz młody oficer rosyjski. Nie mając pojęcia o brzuchomowstwie, zdumiał się niezmiernie, słysząc psa mówiącego, zwłaszcza, że nie powtarzał on jak szpak lub papuga tych samych ciągle frazesów, lecz trafnie odpowiadał na każde zadane mu pytanie. Przekonany, iż cywilizacja zachodnia tak olbrzymie uczyniła postępy, iż zwierzęta nawet z dobrodziejstw jej korzystają, powziął niepohamowaną żądzę zawieźć w głąb Rosji tak ciekawy okaz kultury europejskiej. A że był dość zamożny, zwrócił się do Kosińskiego z propozycją ustąpienia mu owego psa niezwykłego.

— Stary mój ojciec — powiada — nudzi się na wsi bez towarzystwa, cóż to dla niego będzie za rozrywka mieć zawsze przy sobie przywiązaną istotę, z którą będzie mógł z całą swobodą pogwarzyć!

Kosiński przyjął na serjo tę propozycję, nie zgodził się jednak na ustąpienie pudla, którego towarzystwo, jak się wyraził, sam też wysoko cenił.

— Ależ pan wykształcisz sobie psa innego — zawołał zasmucony odmową oficer — ja zaś gotów jestem

oddać za pudla pańskiego, ulubionego wierzchowca mego, któregobym i za 100 dukatów nie odstąpił.

Skusiło to Kosińskiego, począł się więc układać, obejrzał wierzchowca, który istotnie okazał się dziarskim i zamiana została uskuteczniona pod warunkiem, że pies dopiero w chwili odjazdu oficera do Rosji będzie mu oddany. Minęło lat kilka bez wieści o pudlu; pewnego jednak poranku zjawia się znowu z nabytym tak drogo pudlem oszukany oficer w kawiarni, a zastawszy Kosińskiego, napada nań z góry, że go w pole wyprowadził, gdyż pies wcale mówić nie umie.

— A po jakiemuż pan doń przemawiasz? — zagadnął oskarżony.

— Rozumie się, po rosyjsku — odparł już nieco zdetonowany tem pytaniem oficer.

— No to cóż dziwnego, że pies nie odpowiada w języku całkiem dla siebie obcym! — zawołał triumfująco Kosiński. Pan przecie jesteś człowiekiem i to wysoko wykształconym, a jednak cóżby pan odpowiedział, gdybym doń przemówił po chińsku lub japońsku? A żem nie oszust, przekonam zaraz pana, skoro do psa w języku dlań zrozumiałym przemówię.

Hektor! czemuś milczał, gdy pan rotmistrz do ciebie przemawiał?

Pies począł ruszać wargami, a przytomni usłyszeli wyraźnie jakby z gardła jego wychodzącą odpowiedź:

— Ja przecie nie Mezzofanti, żebym wszytkie języki posiadał.

Wybuch homerycznego śmiechu ostrzegł biednego oficera, że go powtórnie na fundusz brano, to też kipiąc od gniewu zażądał od Kosińskiego satysfakcji honorowej i to tegoż jeszcze ranka. Nie przerażony bynajmniej Kosiński przyjmuje wyzwanie, a korzystając z przysługującego mu prawa wyboru broni, oświadcza, że obiera noże i że natychmiast gotów do rozprawy. To mówiąc, bierze nóż ze stołu, przewraca oczy tak, że białka tylko było widać, a ująwszy lewą ręką koniec swego olbrzymiego języka, wyciąga go z ust i poczyna nóż na nim ostrzyć. Ujrzawszy

to oficer tak się przeraził, że wołając: „Czart, czart prawdziwy!“, wyskoczył jak szalony z kawiarni, kwitując z psa i z pojedynku.

(Z. FELIŃSKI.)

* * *

Dziedzic Kożangródka u papieża.

Imci pan Szczyt, pan na Szczytowie i dziedzic Kożangródka na Litwie, wybrał się aż do Rzymu, by prosić Ojca Św. o pozwolenie na odprawianie mszy w dworze kożangrodzkim, jako, że mu, mosterdzieju, za daleko było do kościoła.

Przybywszy do miasta wiecznego, podał prośbę do papieża, otrzymał czego żądał i zaraz miał wracać do domu. Ale zwyczaje jego, w których wzrósł, a których pozbywać się nie chciał, stały się powodem mimowolnego przedłużenia pobytu. Sypał on dukatami za lada co, sypiał w stajni przy koniu, kupił dwa osły w Tivoli, dwóch obszarpańców wsadził na nie i w takiem towarzystwie sam konno uwijał się po Kampanji, szukając domu na wsi do najęcia, gdyż miasta, jak powiadał, nie cierpi... Obszarpańcy owi donoszą urzędnikom bramy di Popolo, że to warjat. Przytrzymują szlachcica, przez dwa dni go męczą, gwałtów niesłychanych na nim się dopuszczają, z kieski mu wszystkie holendry wykradają, potem z bzikowatego robią go wściekłym i piszą raport do władzy wyższej. Władza doktorów śle, on doktorów kpa, grozi im nożem. Doktorzy za warjata go ogłaszają, wiążą i prowadzą do San Spirito.

Tam Szczyta odwiedził Zygmunt Krasiński i opisał wizytę w liście do Sołtana: „Dumny jak hidalgo, nieugięty jak Litwin, wspaniały jak szlachcic z czasów, kiedy Rzeczpospolita nierządem stała, podejrzliwy jak każdy nieszczęśliwy, dziwaczny jak Radziwiłł Panie Kochanku, pełny ciasnych wyobrażeń i bzików, ale mospanie nie warjat.

Pytam się czy pisać do krewnych na Litwę:

— Dziękuję, nie potrzeba, ja przecież dziedzic; gdy się Ojciec Św. dowie, każe tę intrygę ukarać, a mnie uwolnić!

Pytam się, wiele mu ukradli pieniędzy.

— Nie liczę nigdy moich pieniędzy.

Pytam się czy mu przysłać książek lub czego innego.

— Niczego mi nie potrzeba jeno wolności, zresztą za wszystko dziękuję.

I odszedł w ciemne korytarze, pełne warjatów, taki spokojny, taki swój, taki pyszny, jak gdyby w Kożangródku szedł ze strzelcami i psiarnią na niedźwiedzia do boru.

Innym razem, gdy Krasiński go odwiedził posłyszał takie skargi: „Panie, ja kawy nie piję, tu mi kawę dają, zagraniczne wymysły; ja zacierkę lub rosół piję, panie; tortury mi włożyli na ręce, tortury, panie, a ja nie prosty człowiek, ja dziedzic, panie. Niczego nie potrzeba mi, panie. Wiele ten robi, kto musi. Możesz dać wolność, daj; nie możesz, za wszystko dziękuję. Nie potrzeba pisać do nikogo. Ja dziedzic przecie. Ojciec Święty mię uwolni, bo cóż złego popełniłem? Czyż nie wolno koni lubić? Płaciłem za wszystko, spałem w stajni, alem płacił za stancję; kto mi zabroni, panie? Ja dziedzic przecie!“

Nareszcie biedaka wypuścili, a wtedy uciekł na swą Litwę, aż się kurzyło.

(Z. KRASIŃSKI.)

* * *

Król magnatów — królem skąpców.

Szczęsny Potocki, mąż Delfiny słynął z bogactw i ze skąpstwa. Miał przeszło czterdzieści miljonów franków, ulokowanych na zagranicznych bankach i posiadał olbrzymi obszar najurodzajniejszej pobereskiej ziemi, równający się niejednemu udzielnemu księstwu. A jednak Krezus ów podolski bawił się w osobistą sprzedaż na jarmarku drobnych gospodarskich produktów, takich nawet jak skóry końskie i bydlęce, przyczem targował się jak chudopachołek o zło-

tówki i grosze i przebijając ręce po dokonanej umowie. Wynajmował żydom nietylko cały owocowy ogród, ale też ananasarnię i oranżerję, nic nie wymówiwszy nawet na potrzeby domu; z kucharzem zaś zawarł umowę, iż płacić mu będzie dziennie po pół rubla od osoby za obiad i kolację, nie dostarczając żadnych wiktuałów. Jego zaś rzeczą było kupić, co było potrzeba do stołu. Lecz najlepiej charakteryzuje jego system ekonomiczny, znalezienie się przy sprawozdaniu rocznem jeneralnego rządcy Rudnickiego. Spostrzegłszy, iż dość pokaźna suma figuruje w rachunkach na opłatę pasieczników, których miał sporo w swych rozległych dobrach, zawołał z pewnem oburzeniem: „A pocóż płacić pasieczników, kiedy tylu się włóczy dziadów, z których każdy byłby szczęśliwy, gdyby dostał przy pasiece ciepłą chatę na zimę?“ Rządca odrzekł, że i dziad przecie potrzebuje wyżywić się i odziać, trzeba mu więc dostarczyć na to środków. „To niech po dawnemu żebrze na swe utrzymanie, a chatę i ogród będzie miał zawsze w zysku“, odparł nieukontentowany z zarzutu hrabia. „A któż będzie pilnował pasieki, kiedy pasiecznik pójdzie z torbami?“ zagadnął znowu rządca, usiłując na serjo przyjmować rady swego pryncypała. — „To osadzać po dwóch dziadów na jednej pasiece — zawyrokował niezmieszany niedorzeczną polemiką miljoner: „niech jeden pilnuje pasieki, podczas, gdy drugi żebrać będzie dla obydwóch.“

(Z. FELIŃSKI.)

* * *

Przygoda noworoczna panien Skiwskich.

Ks. Karol Antoni Żera, Franciszkanin z Drohiczyna w wieku XVIII-tym, w zebranym przez siebie zbiorze własnych wspomnień i opowiadanych na Podlasiu wydarzeń, tak pisze między innemi o zdarzeniu z początku XVIII w.

„Imć pani Katarzyna ze Skiwskich Kryńska, burgrabina drohicka z Leszczki, opowiadała mi takowe wydarze-

nie z lat swoich młodych: „Było nas u rodziców dwie sióstr pannami. W bliskiem sąsiedztwie mieszkał kawaler, który w domu naszym często bywał, a miał konia drogiego. Raz w Nowy Rok pojechałyśmy z naszą panią matką kuligem do niego, a chcąc zażartować, ile, że przy Nowym Roku wiadomy jest wszystkim zwyczaj kradzenia i wykupna cudzych rzeczy, aby, jak to mówią, w Nowym Roku szczęściło się w przybytku, więc wzięłyśmy z sobą naszego masztalerza i dały mu kilka złotych dla stajennego u tego kawalera, iżby konia owego wydał naszemu masztalerzowi, a po naszym wyjeździe o psocie naszej panu swemu oznajmił. Gdy koń był już wzięty, pożegnałyśmy się, jakoby nigdy nic i wyjechały kontentując, że się dobrze powiodło.

Mróz był trzaskający, sanna kopna, niebo gwiaździste i od świecącego miesiąca widno jak w dzień. Wyjeżdżamy z lasu w pole, aż tu widzimy blisko drogi gromadę wilków z wilczycą. Masztalerz jechał na podjezdku, prowadząc ukradzionego wierzchowca na powodzie, a że koń był żartki i w obcem ręku, więc zoczywszy zgraję wilków, jak nie wyrwie się gwałtownie z rąk masztalerza. My w wielkim o konia strachu, bo bestje rzuciły się z wilczycą, prąc biedaka w zaspy głębokie i cigęć leśną, gdzie ratunek był niepodobny. A tu ani żadnej strzelby, ani broni przy nas i przy ludziach naszych, — więc go prawie w oczach naszych zadławiły. Z płaczem i w srogiem utrapieniu powracamy do domu jak umarłe, nie śmiejąc ojcu nic powiadać, aż się rodzic nasz sam dowiedział pomału o wszystkiem. Otóż nam żarty przy Nowym Roku w lament i szlochanie zamienione. Kopałyśmy dołek i same weń wpadły. W kilka dni potem kawaler przyjeżdża do nas, ale nie okazując frasunku, wesoły jakby nic nie zaszło. Pan rotmistrz Skiwski, nasz rodzic, jął przepraszać go za krzywdę, ździałaną przez płochość i pustotę panieńską. My to słysząc, drżymy jako liście klonowe, ale kawaler miasto jakiego żalu oświadczył panu ojcu, że wszystko to poczytuje za zrządzenie samej Opatrzności, która uczyniła go kredytorem serca panny Katarzyny. Rodzic zezwolił na nasz związek i w sześć niedziel po Nowym Roku gody weselne wyprawił. A tak

rzec można śmiało, iż ona bestja wilczyca, która całej gromadzie wilków przewodziła, pierwszą była dziewosłębiną i długoletnią szczęśliwość naszego pożycia małżeńskiego przyśpieszyła.

(Z. GLOGER.)

* * *

Pan z panów!

Za księstwa warszawskiego słynął szeroko szuler i zawadjaka sławny Chadźkiewicz, były legjonista, oddany szczególnie pasji gry w karty, obieżyświat, pół świata znający. Przesiadywał on czas jakiś przed śmiercią Szczęsnego Potockiego w Tulczynie i grywając tam z Potockim w marjasza, niemało się obłowił. Oskubywał on również synów wojewody, panów wielkiej fortuny i namiętnie karciarstwu oddanych. Kiedy raz stary wojewoda, w towarzystwie innych magnatów, uskarżał się na straty, na które go upadek Polski naraził, odezwał się Chadźkiewicz, że i on postradał też niemało.

— Przebóg! — spytał Wojewoda — a Waść co też takiego stracić mogłeś?

— Alboż to ja — Chadźkiewicz na to — małą poniosłem szkodę, kiedy mi w rewolucji Kościuszkowskiej najlepszych do gry w faraona powywieszano ponitierów!

* * *

Innym razem w Berdyczowie, Chadźkiewicz, ciągnąc bank dla licznie zebranych na jarmarku właścicieli ziemskich, odezwał się do nich, że on jest panem z panów a oni panami z chłopów. Łatwo sobie wyobrazić oburzenie. Pohamował je Chadźkiewicz jednem słowem.

— A no tak — rzekł — ja ogrywając was, panów, jestem przez to samo panem z panów, a wy zaś dochody swoje ciągnąc jeno z chłopów, jesteście panami z chłopów!

(K. MARSZYCKI.)

* * *

O dziwaku Łosiu.

Hrabia Łoś, magnat galicyjski, słynny w początkach XIX stulecia oryginał, nie lubił wydawać pieniędzy, wolał być dłużnym na wszystkie strony. Jak mu wpadły jakie pieniądze do ręki, zamykał je natychmiast do skrzyni żelaznej i przyśrubowanej do podłogi. Skrzynię tę przezwał „panią Dobrzyńską“. Sługom i oficjalistom nie płacił. Z tego wynikło, że płacili samym sobie w czwórnasób, czyli poprostu mówiąc, rwali harpagona na wszystkie strony. Był atoli pomiędzy oficjalistami jeden szlachcic poczciwy i bogobojny, który kraść nie umiał. Służył rok jeden, drugi, trzeci, daremnie prosząc o zasługi. Ani grosza! Nareszcie przy końcu czwartego roku przebrała się miara. Wysprzedał się, zrujnował i gotów był chwycić się ostateczności. Wypił na fantazję spory kielich kminkówki i poszedł do gabinetu hrabiego, mając nota bene w ręku porządną lagę dębową.

W pokoju hrabiego było mnóstwo kosztownych drobiazgów, albowiem lubiał zbierać antyki i na to jedno nie żałował pieniędzy. Stare obrazy wisiały na ścianach, a między niemi na widoku obraz M. Boskiej, bardzo znamienitego pendzla.

Pan Maciej wszedł, nic nie mówiąc, zamknął drzwi na klucz, a schowawszy go do kieszeni, ukląkł przed świętym obrazem.

— Najświętsza Panno! Boża Rodzicielko! — rzekł, uderzając czołem w ziemię. Ty wiesz i patrzysz na to z góry, że ja przez cały czas mojej służby, ani na grosz nie skrzywdziłem jaśnie wielmożnego pana, nawet na rachunek zasług moich, a należą mi się za cztery lata. Obdarłem się z żoną i dziećmi do ostatniego, nie mamy ani garści soli, ani kawałka okrasy, ani kropli mleka. Jeśli więc jaśnie wielmożny hrabia nie wypłaci mi natychmiast moich zasług, to klnę się przed Twoim świętym obrazem, że tym kijem wszystkie te drobiazgi, co tu są, na kawałki porozbijam, a jeśli się przypadkiem i jaśnie wielmożnemu panu dostanie, nie moja w tem będzie wina. Amen.

— Czyś wasze oszalał? — zawołał przestraszony hrabia. — Otwórz wasan drzwi, bo zawołam na ludzi.

Szlachcic nic nie odpowiedział, tylko zamierzył się kijem na jakiś wazon etruski.

— Czekaj wasan! stój, na Boga! krzyknął hrabia. Zapłacę wasanu, zapłacę! a wiele się należy?

— Sześćset reńskich za cztery lata służby, jaśnie panie.

— Ale ja nie mam pieniędzy teraz. Przyjdź wasze za tydzień, to się może znajdą, ale otwórz, otwórz czem prędzej.

— Nie mogę, zakląłem się przed obrazem N. Panny i przysiągłem, wykonać muszę.

I znów zamierzył się kijem.

— Stój, stój! muszę chyba pożyczyć u „pani Dobrzyńskiej." Czy kto słyszał i widział takie szaleństwo?

Pan hrabia usiadł przy stoliku, napisał rewers na 600 reńskich, które miał „oddać w najkrótszym czasie wielmożnej pani Dobrzyńskiej." Potem przeszedł do małego gabinetu, wyjął pieniądze ze skrzyni, położył w ich miejsce swój rewers, wrócił i wypłacił szlachcicowi. Ekonom zgarnął pieniądze i ukłonił się nisko.

— Otóż to tak, z uszanowaniem i pokorą trzeba przystępować do j. wielmożnego pana! zawołał hrabia dumnie. Otwórz wasan drzwi i ruszaj z Bogiem.

(F. DMOCHOWSKI.)

* * *

Wojewoda pomorski, Łoś, dziedzic Narola, człowiek wspaniałej postawy, wsławił się również tysiącznemi dziwactwami. Nadjechali raz karocą nad wezbraną rzekę Tanew, gdy stangret zatrzymał konie.

— A co tam *nequam*?

— Jaśnie panie, rzeka wylała, a woda głęboka, kareta spłynie, będzie na chłopa!

— Jedź stupidusie, kiedy na chłopa, to senatorowi po kolana! — krzyknął zirytowany śmiałością Tanwi. Z największem niebezpieczeństwem płynące konie płynącą przeprawiły karetę. Ile zaś *oremusów* wojewoda odśpiewał, nie mówią dzieje, ale na tem miejscu wystawić kazał dziękczynną figurę z napisem:

„Jaką przysługę na rzece Tanwi
Pan Panu oddał? — Pan wie.
A że Pan Pana z nieszczęścia wybawił,
Za to Pan Panu figurę wystawił".

Innym razem udała mu się odpowiedź łacińska cesarzowi Józefowi II, który go pytał, czy jest bratem innego Łosia.

— *Est - ne ille frater germanus Do: vestrae?*

— *Deus avertat! Polonus* — wypalił, robiąc znak krzyża świętego.

(JABŁONOWSKI.)

* * *

U Łosia były na dziedzińcu trzy bramy — jedna senatorska, druga szlachecka, trzecia dla pospolitego ludu. Odźwierni pilnowali, aby nikt nie ważył się niewłaściwą bramą wjechać lub wejść na dziedziniec.

Kiedy generał Orłowski po rewolucji przybył do Lwowa i był u wojewody z wizytą, ten zapytał go:

— I cóż generale?... cóż tam o Turkach słychać w Kamieńcu? (Orłowski przed Targowicą był komendantem fortecy w Kamieńcu.)

— Panie wojewodo — odrzekł — ja już od lat sześciu w Kamieńcu nie byłem. Rosjanie go zajęli i są z Turkami w pokoju.

— A cóżeś Waść zrobił generale, żeś Kamieniec opuścił? Wszak to forteca!

— Panu wojewodzie przecież nie tajno — mówił zdziwiony Orłowski — jakie były wypadki... rozbiór kraju...

 Uchował mnie Bóg broni

— Ach, czyż można takim bredniom dać wiarę — przerwał Łoś żywo — to koncepty gazeciarskie. I mnie wprawdzie coś o tem gadano, ale ~~Deus me avertat~~, żebym podobnym głupim pogłoskom miał wierzyć.

(DEMBOWSKI.)

* * *

Zwyczaje pani Badeniowej.

Żona Marcina Badeniego, ministra sprawiedliwości w księstwie warszawskiem, słynęła z dziwactw i przerażającego niechlujstwa. Pewnego dnia na licznem wieczornem zgromadzeniu wyższej śmietanki krakowskiej u hr. Stanisława Wodzickiego, który był prezesem senatu Rzpltej krakowskiej, gdy formowano partję wistową, wypadło pułkownikowi Morsztynowi zasiąść razem z nią u jednego stolika. W ciągu gry pchła zaczęła tej damie dokuczać, a wtedy ona podnosząc ubiór łapie dokuczliwe stworzenie i takowe bez względu na stoliku zabija. Na to odezwał się pułkownik:

„Wielka też to świna z pani wojewodziny."

Na co ona:

„Pan pułkownik zawsze żartuje."

Ale pułkownik odrzekł:

„Wcale nie żartuję, tylko mówię prawdę."

Na innem podobnem zgromadzeniu w tymże samym znakomitym domu, gdy przy znacznej liczbie osób w pokoju zrobiło się gorąco, Badeniowa udała się do sypialnego pokoju j. w. prezesowej, a właśnie wtedy nikt tam nie był obecny, zdjęła z siebie brudne flanelowe dessous i takowe pod poduszkę tej pani włożyła. Pani Wodzicka po rozejściu gości udaje się na spoczynek i kładząc się w łóżko, spostrzega obrzydliwą szmatę; zgiełk hałas na służących, że nie dają należnego baczenia, podczas kiedy się mógł wcisnąć jakiś nieznany, który mógł jej tę przykrość wyrządzić. Służący twierdzą, że tam w pokoju nikt podobny nie był, co było prawdą. Brudne gałgany wy-

rzucono; aż tu drugiego dnia przychodzi służący od j. w. wojewodziny i domaga się wydania sobie bielizny, która jest w łóżku j. w. prezesowej schowana.

(A. GRABOWSKI.)

* * *

Przygoda kleryka Marchewki.

Kleryk z jednego zakonu krakowskiego, nazwiskiem Marchewka, chodząc po kweście znany był całemu miastu z jowjalności i dlatego chętnie w każdym domu go przyjmowano. Chodził w habicie swojego zakonu, z grubego sukna, z kapturem na głowie, w sandałach na nogach, paskiem ogórkowym na brzuchu, z głową mniej więcej ostrzyżoną, z chustką kolorową w rękawie i dość grubym kijem w ręku; chodził z domu do domu, cichy, potulny i ze spuszczonemi oczami. Pewnego razu zjawia się w Krakowie jakiś nieznany elegant. Wszędzie go było pełno, po cukierniach, kawiarniach, bilardach, restauracjach. Wszędzie traktuje na prawo i na lewo i traktuje sowicie. Któż to jest ów elegant, którego rysy twarzy są mi jakoś znane? zapytuje każdy. Jest to Marchewka! — Przyczyna tego nagłego przeobrażenia była następująca:

Marchewce darował ktoś bilet na loterję pruską. Na numer tego biletu, którego nasz kleryk miał ćwiartkę, główna padła wygrana. Marchewka, śledząc pilnie listę wygranych, znajduje swój numer i kłopocze się jakim sposobem dostać się do Berlina po odbiór pieniędzy wygranych. Dobroduszność ta Marchewki, (bo kolektor loterji był w Krakowie) dochodzi do uszów znanego lichwiarza, niejakiego Chmielewskiego. Ten, wspólnie z dwoma drugimi podobnymi sobie ludźmi, udaje się do Marchewki, notują numer biletu, dowiadują się o wygranej takiego numeru i obiecują, gdy Marchewka z ręki biletu wypuścić nie chciał, iż mu pomogą odebrać wygrane pieniądze. Nim to jednak nastąpi, radzą, aby porzucił niepotrzebną już kwestę i po ludzku się przebrał i życie prowadził.

Oświadczyli mu przytem, iż przez wzgląd na ogólną miłość ludzką, jaką w Krakowie posiada, gotowi mu naprzód dostarczyć potrzebne na to pieniądze.

Gdy Marchewka na to przystał, jeden z tych dobrodziejów najął dla niego porządnie umeblowane mieszkanie, drugi przemienił go na fircyka, przebrawszy go od stóp do głów, a trzeci dał mu potrzebne na wydatki pieniądze nie zapomniawszy naturalnie o zakwitowaniu podwójną kredką sporządzonem. Tak wykierowany na pana ex-kleryk Marchewka hulał przez kilka miesięcy, a nawet się wkońcu zaręczył z córką ex-profesora znanego także z chciwości. Gdy się nareszcie rachunki panów dostarczycieli pieniędzy przepełniły należytością, wymogli od Marchewki aby im bilet loteryjny dla odebrania pieniędzy wręczył, co też i uczynił.

Mając w ręku ów upragniony bilet, pobiegli do kolektora i przedstawili mu go, żądając wypłaty. Można sobie wyobrazić przerażenie tych chciwych lichwiarzy i rozczarowanie panny narzeczonej, gdy po zweryfikowaniu biletu, okazało się, że bilet był przeszłorocznej daty! Chciwi zysku prześlepili datę! Pieniądze przepadły, chciwość została ukarana, a Marchewka, wypędzony z mieszkania, odarty z ubioru, wdział habit, włożył sandały na nogi, ogolił głowę, nakrył ją kapturem i po zakosztowaniu życia światowego, wrócił do klasztoru!

(J. DROPSY.)

* * *

Kłopoty imci Drelinkiewicza.

Za czasów wolnego miasta Krakowa znajdowała się na rynku krakowskim kamieniczka jedyna w swoim rodzaju, tak wąska, że na wszystkich piętrach było tylko po jednem oknie z frontu. Kamieniczka ta, nakształt wieży kończyła się śpiczasto i miała chorągiewkę. Na dole znajdował się wąski, długi sklepik, w którym siedział człowiek niemniej ciekawy od kamieniczki. Był to księgarz od-

wieczny, nazwiskiem Drelinkiewicz. Sklep jego napełniony był staremi książkami i szpargałami. Żadna nowożytna książka nie przestąpiła progu kamiennego tego sklepiku. Biada temu, ktoby się zapytał o taką książkę, mianowicie o Woltera, Russa i t. p. Ludzi dorosłych i starszych odprawiał impertynencją, ludzi młodych, chłopców, wyganiał poprostu batem. Z tej przyczyny studenci różne mu płatali figle, a on coraz grubszy i dłuższy bat sporządzał. Często się zdarzało, że po zamknięciu żelaznej bramki owej kamieniczki, przywiązywali kota do dzwonka. Drelinkiewicz mieszkał sam jeden w tym domku i sypiał na 3-em piętrze, bo w całej tej kamieniczce trzy tylko były pokoje, po jednym na każdem piętrze. Po usłyszeniu dzwonka schodził w koszuli i boso na dół. Dowiedziawszy się co się święci, łajał na całe gardło. Wówczas jakby echo w dali na rynku dawały się słyszeć słowa: Wolter! Russo! Luter! a na progu domu, Drelinkiewicz, wysoki, chudy jak szczapa, prawie goły, z iskrzącemi oczami i podniesionym w górę batem, gromił i groził, kierując wejrzenia w kierunku owych głosów. I trwała ta zabawa przez wiele lat.

(J. DROPSY.)

* * *

Zakład o arcybiskupa.

Za czasów Metternicha i Kriega, gdy Galicja jęczała w szponach srogiego uścisku, wymyślono we Wiedniu dla zjednania Galicjan komedję t. z. Sejmu stanowego, któremu wolno było przedkładać prośby do tronu (nigdy nie wysłuchane), a zresztą nie miał żadnych kompetencyj. Natomiast pozwolono nosić deputatom wspaniałe mundury, oraz odbywać uczty i pochody przez miasto. Taki pochód instalacyjny odbywał się bardzo uroczyście, przy dźwiękach muzyki i bębnów. Na czele jechał w złocistej karocy arcybiskup lwowski, potem gubernator i dostojnicy austrjaccy. Otóż słynny dowcipniś lwowski adwokat Zaremba, założył się

z towarzyszami o 10 flaszek wina, że zatrzyma w samym rynku przejeżdżającego właśnie *in pontificalibus* w złocistej karecie o 6-ciu koniach sędziwego arcyb. Kickiego. Niewiele myśląc, skacze do forysia na przodzie i macha ręką rozpaczliwie, każąc mu stanąć. Arcybiskup wychylił głowę z powozu, patrząc, co się stało, a tymczasem Zaremba przystępuje do niego, pada na kolana i woła: *„Benedica me Illustrissime!“* Sędziwy arcybiskup uczynił to rzeczywiście, poczem Zaremba kazał forysiowi jechać dalej, dając znać towarzyszom, by szli na wino wygrane.

(BOGDANOWICZ.)

* * *

Satysfakcja Rzewuskiego.

Raz u Henryka Rzewuskiego, twórcy „Listopada“, w Cudnowie wiele osób zebrało się na śniadaniu, a między innymi kilku oficerów rosyjskich konsystujących w okolicy. Wszystkie przekąski rozstawione były zawczasu na stole. Każdy zaś ze współbiesiadników brał, co mu się podobało. Przypadkiem tak się złożyło, iż na jednym końcu stołu umieszczono na talerzu minogi, na przeciwległym zaś końcu, również na talerzu przygotowano dla palących cygara. Otóż jeden z młodych oficerów, dla którego cygara były rzeczą całkiem nieznaną, widząc, jak któryś z gości zajadał smacznie minogi i sądząc, że przed nim stały te same specjały, przyrządził sobie z octem i oliwą kilka cygar i spożył je do ostatniego kawałka, jakby najwyborniejsze przysmaki. Czy tak zdarzyło się istotnie nie wiadomo, dość, że Rzewuski opowiadał o tem znajomym. Gdy dotyczący oficer dowiedział się o tem, obraził się strasznie, klnąc się, że nie puści tego Rzewuskiemu płazem, a jeśli potwarca odmówi mu satysfakcji honorowej, to go publicznie wypoliczkuje. Niezwłocznie też uprosił dwóch sekundantów, aby w jego imieniu wyzwali Rzewuskiego i ułożyli się o wa-

runki pojedynku. Gdy jednak przyszło do ułożenia warunków spotkania, sekundanci stron obu rozpatrzywszy bliżej powód pojedynku, uznali, że nie było w gruncie racji do krwi rozlewu, postanowili przeto wszelkich dołożyć starań, by sprawę polubownie zakończyć. Gdy jednak poczęto do zgody namawiać wyzywającego, obrażony kapitan stanowczo odpowiedział, że wówczas chyba odstąpi od pojedynku, jeśli przeciwnik odwoła rzuconą nań potwarz i publicznie go przeprosi. Rzewuski bez oporu przyjął podane mu przez przeciwnika warunki. Wybrano przeto delegatów i o oznaczonej godzinie dość liczne grono świadków zebrało się w sali kontraktowej, do której sekundanci wprowadzili z dwóch stron przeciwnych obu powaśnionych. Skoro się zeszli na środku sali, Rzewuski pierwszy głos zabrał w te mniej więcej słowa:

— Zagniewałeś się na mnie, panie kapitanie, za żart tylko dla zabawy powiedziany, a co jeszcze smutniejsze, przypisałeś mi intencję wyszydzenia twej osoby dostojnej. Chętnie też oświadczam wobec przytomnych tu świadków, że opowiadając wymyśloną dla rozweselenia gości facecję o cygarach, nie miałem zamiarów ubliżyć walecznej armji rosyjskiej, gdyż nie przypuszczałem, aby kto tę farsę przyjął na serjo. Co do twojej czcigodnej osoby, panie kapitanie, słowem honoru ci ręczę, że w ciągu opowiadania ani na myśl mi ona nie przyszła. Niemniej przecież przepraszam cię za tę mimowolnie wyrządzoną ci przykrość. Teraz jednak otrzymawszy ode mnie tak całkowitą wedle życzenia twego satysfakcję, pozwól mi, panie kapitanie, jako starszemu wiekiem i doświadczeniem, dać ci przyjacielską radę, która nieraz w życiu przydać ci się może. Oto, nie przyjmuj nigdy do siebie tego, co się w ogólności mówi, chociażby nawet słuszne istniały powody do podobnego przypuszczenia. Całe życie trzymałem się tej zasady i nigdy jej nie opuszczę, chociażby przytyk był niemal oczywisty. Ot i teraz; dwóch nas jest tylko na środku sali; gdyby jednak który z tych panów, co na nas patrzą, powiedział, że jeden z nas dureń, słowo daję, że pókiby nazwiska mego nie wymienił, nie wziąłbym tego do siebie!...

Huczne brawo ozwało się, a głupi kapitan, nie połapawszy się na dowcipie podał rękę do zgody.

(Z. FELIŃSKI.)

*
* *

Kto więcej kocha carowę?

Imć pana Szaszkiewicza, słynnego bałagułę i dowcipnisia bolały bardzo zęby. Posyła tedy po cyrulika, by mu ząb zepsuty wyrwał. W chwili jednak, gdy cyrulik do operacji się zabierał, dają znać, że generał gubernator na dziedziniec wjechał. Szaszkiewicz, pokazał cyrulikowi ząb cierpiący, poczem wyprawił go do piekarni, sam zaś pośpieszył na spotkanie jenerała. Przy sutem śniadaniu, zakropionem co najstarszym węgrzynem, gospodarz zaczął rozmowę o swem przywiązaniu do tronu rosyjskiego, a ożywiając się coraz więcej, zawołał z zapałem do podchmielonego już nieco jenerała:

— Wy utrzymujecie, że Rosjanie więcej kochają cesarzowę niż Polacy i otóż ja przeczę temu stanowczo, przynajmniej co do mej osoby, gdyż pewny jestem, że niepodobna, aby ktokolwiek więcej ją kochał ode mnie!

— Wierzę, wierzę — odparł jenerał — że jak na cudzoziemca miłujesz ją bardzo, ale my, rodowici jej poddani, więcej mamy powodów do wielbienia naszej matuszki carycy.

— Otóż ja przekonam pana jenerała — odparł, zrywając się od stołu Szaszkiewicz — że goręcej od was kocham cesarzowę, bo dla jej miłości zrobię to, czego z pewnością żaden z was nie zrobi.

To powiedziawszy kazał zawołać cyrulika, a gdy ten przybył, usiadł na krześle wołając:

— Dla miłości cesarzowej daję sobie oto wyrwać ząb trzonowy. Rwij mi zaraz żydzie, choćby szczęka pęknąć miała!

Napróżno jenerał odmawiał go od tej ofiary heroicznej, z której cesarzowa żadnej korzyści nie odniesie, uparł

się przy swojem, twierdząc, iż „honor Polaków“ poświęcenia tego wymaga. Po dokonanej operacji, widząc krew lejącą się obficie z ust szlachcica polskiego ku czci cesarzowej, jenerał nie mógł znieść takiego upokorzenia, a krew tak gwałtownie w żyłach mu zakipiała, iż rzucił się na opróżnione przez Szaszkiewicza krzesło, wołając na cyrulika:

— Rwij dwa!

I wkrótce dwa zębiska Moskala znalazły się w rękach cyrulika.

(Z. FELIŃSKI.)

* * *

Koncept Niecnotki.

Trefniś Niecnotka bywał duszą zebrań i obiadów u ks. biskupa Rutkowskiego w Lublinie w r. 1810. Ufny w łaskę pańską i bezkarność, dopuszczał się nieraz śmiałych i ciętych żartów. Gdy np. wzniesiono na obiedzie biskupim toast dla deputata Szczanieckiego, wojskiego, chełmskiego i utytułowanego Jaśnie Wielmożnym, Niecnotka palnął rymem:

Zawsze Wielmożny panie, na czas tylko Jaśnie,
Bo po świętym Tomaszu twoja jasność zgaśnie.

Oburzenie stało się wielkie; biskup Niecnotkę kazał zamknąć do kozy, ale nim się obiad skończył, już pożałował swej porywczości i posłał mu półmisek z rybą, pod warunkiem, aby coś dowcipnego napisał i złagodził winę. Niecnotka posłał biskupowi następujący wierszyk:

„Ryby na półmisku
Mam od księdza bisku...“

— Cóż ten hultaj tu plecie? To taka poprawa? Biegaj niech mi coś do rzeczy powie, bo go każę *in fundo* zamknąć na dwa tygodnie.

Posłaniec wrócił z dokończeniem.

„pa, wtenczas nakreślę,
Jak mi wina przyśle.“

Dopiero śmiech i uciecha i Niecnotka przywrócony był do łaski, przeprosiwszy wprzód naturalnie obrażonego deputata.

(W. RAPACKI.)

* * *

Nieprzyzwoita propozycja.

— Kantorbery Tymowski, poeta-emigrant z 1831 r. pisywał z Paryża do brata stryjecznego, Józefa, dyrektora banku w Warszawie, później ministra w Petersburgu, który był tak bardzo służbisty i tchórzliwy, że każdy list nieodpieczętowany nosił do namiestnika Paskiewicza i dopiero na jego polecenie odczytywał i odpisywał. Raz, odebrawszy prośbę o pomoc pieniężną, usłuchał Paskiewicza i poradził bratu, żeby przyjeżdżał do Warszawy i prosił cesarza o przebaczenie, które niezawodnie uzyska.

Dyr. Tymowski odebraną odpowiedź według zwyczaju zaniósł do ks. Paskiewicza, który sam list odpieczętował. List zawierał czworowiersz następujący:

„Odebrałem twe pismo z siedmnastej daty,
Nie prosiłem o rady, ale o dukaty;
A ponieważ zostałeś dworu szambelanem,
Całuj że mnie w d... z Najjaśniejszym Panem.“

(W. STECKI.)

* * *

O świniach prawosławnych.

— Henryk Rzewuski, bawiąc często w Petersburgu, poznajomił się tam z wielu dostojnikami, należącymi do bliższego otoczenia monarchy. Jeden z tych dygnitarzy przybył kiedyś w odwiedziny do Cudnowa, wspaniałej rezydencji Rzewuskiego, aby wziąść udział w łowach jesiennych. Wracając razem z gospodarzem z polowania, spostrzegł dworak pod wiejskim płotem lochę, która przyklęknąwszy

na kolana przednie wygryzała trawę z pod zagrody. Gość uradowany ze sposobności, by zażartować z papisty, za, jakiego słynął Rzewuski, robiąc aluzję do tego, że katolicy klęcząc modlą się, zawołał wskazując lochę:

— Patrz hrabio, świnia katolicka!

Na co Rzewuski, udając zdziwienie wielkie, odrzekł w tym samym tonie:

— Istotnie rzecz to niebywała. Wszystkie, jakie dotąd spotykałem były prawosławne.

* * *

Nauka języka rosyjskiego.

Gdy Henryk Rzewuski zamieszkał w Warszawie, częstym bywał gościem u wojewodziny Anny Nakwaskiej. I przez żart zapewne, namawiał ją ciągle, ażeby, jako jedna z najuczeńszych Polek, nauczyła się także języka rosyjskiego. Z początku odpierała to żartem — a potem i nieco z gniewem. Aż wreszcie powiedziała mu dnia jednego, że uczyć się zacznie, a w przyszłą niedzielę już po rosyjsku do niego przemówi. — Przybył na ten wieczór niedzielny, jak zwykle. Przystąpił do wojewodziny i powitał ją. Poznała głos jego, bo wzrok miała już bardzo słaby.

— Czy pani wojewodzina dotrzymałaś słowa? zapytał, przypominając jej język rosyjski.

— A jakże! — odrzekła — *Paszoł durak!*

* * *

Książę Józef Czartoryski, stolnik w ks. Lit. z upadkiem kraju zamknął się w Korcu na Wołyniu i usunął od wszystkich godności proponowanych mu przez rząd rosyjski. Z wyniosłością senatora traktował nowych urzędników. Raz kapitan sprawnik prosił o pozwolenie złożenia swej czołobitności panu stolnikowi na zamku koreckim. Książę przyjął go dość łaskawie, a na pożegnanie wsunął mu do ręki rulonik z 50 dukatami obrączkowemi. Kapitan sprawnik, najuniżeniej dziękuje, dodając przytem, że nie zasłużył

jeszcze na taką łaskę, gdyż dotąd nic dobrego dla księcia nie zrobił. Ten mu zaś na to odpowiedział:

— „Mocium panie! Złego sobie zrobić nie pozwolę, dobrego nie potrzebuję, a daję zato, abyś mocium panie, nic nie robił!“

* * *

Sowietnik Ławrynowicz, słynął z okrucieństw na Litwie. Już za życia okazywano mu największą pogardę, a w czasie pogrzebu Ławrynowicza, policja schwytała psa ubranego w krepę żałobną z napisem na szyi: „Jako pies po psie żałobę noszę.“

* * *

Anetka z Ostrej Bramy.

Dziewczyna lekkich obyczajów Anetka, znana była w Wilnie pod nazwą „Ostrobramskiej,“ ponieważ mieszkała w bliskości obrazu Matki Boskiej, na bramie „Ostrej.“ Ta okoliczność dała powód do następującego qui pro quo. Ksiądz Lautrec, emigrant francuski, wiedzący dobrze o istnieniu Anetki, złożył raz wizytę pani Bennigsenowej. Zastał ją wyszywającą złotem sukienkę do obrazu. Na zapytanie dla kogo jest ona przeznaczona pani Bennigsenowa odpowiedziała, że dla „Ostrobramskiej.“ Oburzenie księdza, który znał pod tem imieniem Anetkę, granic nie miało. — „Ach, pani, zawołał, jak można do tego stopnia posuwać pobłażliwość dla podobnych kreatur!“

(Dr. FRANK.)

* * *

Wesoły protektor.

Niektórzy członkowie Wileńskiego Tow. dobroczynności (r. 1815—1820) byli dość opieszali, wcale się nie wtrącali do spraw dobroczynności albo patrzali na nie jako na zabawę. Do takich należał Józef hr. Mostowski. Gdy pewna

przystojna osoba wzróciła się do niego z prośbą o protekcję, by mogła otrzymać od towarzystwa posag, hrabia dał jej napisaną przez siebie kartkę, zawierającą następującą grę słów: *„Je declare la demoiselle digne de la tention [l'attention] des membres."*

Tention — znaczy „rozciąganie, rozpięcie" zaś *„l'attention"* — uwaga. Frazes tedy można przetłumaczyć dwojako: 1) „Świadczę, że panienka zasługuje na uwagę członków" i 2) „Świadczę, że panienka zasługuje na to, by jej rozciągnąć członki."

(Dr. J. FRANK.)

* * *

„Czarna kasza."

Pewien kupiec na Litwie handlował prochem strzelniczym, który trzymał w otwartej skrzyni na strychu. Gdy pewnego dnia późno wieczorem przyszedł jakiś kupujący, a żądanego przedmiotu nie było w sklepie, kupiec posłał służącą do składu. Po chwili służąca wróciła bez świecy, którą miała w ręku idąc na strych. Zapytana co z nią zrobiła, odrzekła, że wróciła po lichtarz, który jej z rąk wypadł, a tymczasem świecę wetknęła do „czarnej kaszy" w skrzyni. Wiedząc, że żadnej czarnej kaszy w skrzyni nie było, kupiec domyślił się odrazu, że służąca umieściła świecę w skrzyni z prochem. Nie tracąc przytomności kazał jej iść na strych i przynieść świecę, a tymczasem z rodziną jak najśpieszniej uciekł z domu. Sługa zaś najspokojniej powróciła z palącą się świecą w ręku.

O wesołych kaznodziejach.

Pewnemu Bernardynowi, który nigdy kazań nie miewał, kazali księża mieć popołudniową naukę na odpuście w dzień świętego Rafała. Księżyna kręcił się i nie wiedział co z tym fantem zrobić. Dano mu więc kilka jakichś starych kazań, aby na ich wzór ulepił sobie nowe. Nie szło mu to jednak sporo, wziął więc pierwsze lepsze kazanie jakie się nawinęło i poszedł z niem do kościoła. Kazanie miało za temat „Znalezienie św. Krzyża.“ Pomyślał zatem Bernardyn: zamiast „św. Krzyż“ powiem „św. Rafał“ i będzie dobrze! Kazanie wypadło jak następuje:

„Pojechała tedy cesarzowa Helena do Jeruzalem dla szukania św. Rafała. Chcąc jednak znaleźć św. Rafała, trudność wielką widziała, bo miejsca, gdzie był grób znać nie było. Ledwie się jednak niejaki Judasz znalazł, który wiedział z podania ojców swoich, gdzie był pogrzebiony św. Rafał. I znalazła się jaskinia ona, a w niej znalazło się trzech Rafałów. Wielką radością byli wszyscy zdjęci, lecz pomiędzy trzema Rafałami nie mogła dobra cesarzowa rozeznać, który był prawdziwy św. Rafał. Przyniesiono więc wszystkich trzech Rafałów do domu sparaliżowanej niewiasty. I przyłożyli do niej pierwszego Rafała — lecz nic jej się nie odmieniło. I przyłożyli do niej drugiego św. Rafała, a wtedy oczy zawierała. I przyłożyli do niej trzeciego Rafała, a niewiasta wstała. I tak poznano, który był prawdziwy św. Rafał.“

* * *

Miał pewien proboszcz starą, potłuszczoną, lepiącą się książkę, z której przez lat trzydzieści jedne i też same

odczytywał kazania i nauki. Kiedy więc pewnego razu mówił o stworzeniu świata i pierwszego człowieka, tak rzecz kończył: „Dotychczas Adam był sam jeden na ziemi, przeto rzekł Bóg: Niedobrze być człowiekowi samemu, uczyńmy mu pomoc, jemu podobną. Potem przypuścił Pan Bóg sen twardy na Adama i wyjął z niego żebro, z którego uczynił niewiastę; tedy radował się Adam i dał niewieście nazwę Ewa... (tu kaznodzieja przerzucił kartkę i ciągnął dalej) która była na trzysta łokci długa, pięćdziesiąt szeroka, trzydzieści wysoka, a zewnątrz i wewnątrz smołą wylana...“ Tu mowca zastanowił się i spostrzegł, że zamiast jednej dwie zlepione kartki przewrócił, ale nie tracąc fantazji dokończył: „że była na trzysta łokci długa, pięćdziesiąt szeroka i trzydzieści wysoka, toć nic dziwnego, boć była matką rodu ludzkiego, ale dlaczego wewnątrz i zewnątrz smołą wylana, tego ani ja, ani święci ojcowie kościoła nie wiedzą....“

* * *

Inny kaznodzieja pokłóciwszy się z panem aptekarzem, postanowił się zemścić na nim na kazaniu. Wystawiając więc złe skutki pijaństwa, tak zakończył: „Prowadzicie sami siebie do upodlenia i nędzy, obrażacie swego Stwórcę i Pana, narażacie się na pośmiewisko dzieci waszych. I wy tego pojąć nie możecie! A toć to takie proste, takie jasne, toć to najpodlejsze stworzenie boskie, szewc, aptekarz nawet zrozumieć jest w stanie...“

Tenże ksiądz miał zwyczaj silnie ręką uderzać o poręcz ambony. Razu pewnego chłopcy kościelni, spłatali mu figla, wsadzając kilka szpilek do poręczy. Kiedy więc zwróciwszy się ku ołtarzowi chciał wezwać pomocy świętych, taki ustęp pobożni słuchacze niespodzianie usłyszeli: „Do was się zwracam święty Józefie z Kopertynu i święty Franciszku i wołam... (tu ręką w poręcz uderzył) ...bodaj was wszystkich djabli wzięli! a toście mnie łajdaki na kpa wystrychnęli!...“

* *

Jeszcze inny kaznodzieja mając o ważnej bardzo sprawie rozprawiać, wziął strzelbę na plecy i idzie na ambonę. Ludzie patrzą i powiadają, że ksiądz zwarjował. Ale stanąwszy na ambonie, zaczyna strzelbę nabijać, podsypał na panewkę prochu i wymierzywszy między ludzi wypalił. Lecz tylko na panewce proch się zajął, strzelba nie wystreliła. Wtedy drugi raz podsypał cokolwiek prochu i znowu wymierzył między ludzi, którzy widząc, że to nie żarty, tłumnie cisnęli się do drzwi, wtedy kaznodzieja zawołał: „Stójcie! widzicie jak się śmierci lękacie, a grzeszyć nie boicie się.“ A tedy zaczął kazanie prawić o zbrodniach ludzkich, które na słuchaczach wielkie sprawiło wrażenie.

* * *

Podobnie w innem mieście proboszcz wyszedłszy na ambonę w dzień zaduszny, począł z całego gardła krzyczeć: „pali się!“ „pali się!“ Wszyscy w nogi, a gdy tak z kościoła uciekają, „stójcie!“ znowu zawołał: „Kiedy dom się pali, jak biegniecie ratować, a jak dusze palą się w czyśćcu, to wy nie myślicie o podaniu im pomocy?“

* * *

Pan Solski, burmistrz małego miasteczka chciał swoim zwyczajem łyknąć w południe kieliszeczek wódki, lecz zastał kredens zamknięty, a kluczyki zabrała ze sobą pani domu do kościoła. Wobec tego posłał pan Solski służącą Magdalenę, by pobiegła co żywo do kościoła i przyniosła od pani kluczyki. Służąca weszła do kościoła w chwili, gdy ksiądz wielkim głosem cytował słowa ewangelji „Magdaleno czego szukasz?“ Wtedy Magdalena sądząc, że to się do niej odnosi odpowiedziała głośno: „Pani Solskiej z kluczykami.“

* * *

Był w pewnej parafji ksiądz, który prawie że nie rozstawał się z kieliszkiem. Kilka osób znajomych założyło

się z nim, czy potrafi podczas kazania wypić butelkę wódki. Ksiądz bez namysłu zakład przyjął i w najbliższą niedzielę umieścił na ambonie przygotowaną butelkę wódki. Wygłaszając kazanie przytoczył słowa Chrystusa „Maluczko, a nie ujrzycie mnie“ — i pod pozorem, że obrazowo to chce przedstawić, schyła się pod poręcz ambony i wypróżnia część butelki — następnie wstał mówiąc dalsze słowa Chrystusa „Maluczko, a ujrzycie mnie.“ I ukazał się wiernym. Powtarzał to tak długo, dopóki całej butelki nie wypróżnił.

* * *

Chcąc zbyć kazanie, na które przygotować się nie chciał, wylazł ksiądz na ambonę i powiada: „A wiecie wy, co ja mam powiadać?“ Wierni odpowiedzieli, że nie wiedzą. „Otóż jeżeli wy nie wiecie, o czem mam mówić, to wam nic nie powiem.“ Na drugą niedzielę wchodzi na ambonę i pyta: „A wiecie wy co mam powiedzieć?“ Wszyscy powiadają: wiemy. „Otóż jeżeli wiecie, to wam nic nie powiem.“ Na trzecią niedzielę ksiądz z ambony pyta: „A wiecie wy co mam powiedzieć?“ Jedni powiadają wiemy, drudzy zaś, nie wiemy. „Otóż ci, co wiedzą niech powiedzą tym, co nie wiedzą.

* * „

Chciwy proboszcz, uzbierawszy nieco grosiwa, wpadł na pomysł, żeby pieniądze w kościele w kształcie nagrobku ukryć. Jakoś sam wykuł framugę w ścianie, złożył pieniądze, a z wierzchu przyłożył tablicę marmurową z napisem: Tu spoczywa złotousty Kręcicki. Długi czas nagrobek był w całości. Razu pewnego, zmiatając prochy w kościele, organista wlazł na ołtarz i spostrzegł ten nagrobek. Zdziwiło go to bardzo, gdyż tam nie było przedtem tablicy, powoli przypatrując się, zaczął nożem dłubać, wysadzać, nareszcie wypadła tablica. W środku ukazał się spory worek dukatów. „Aha! to ty panie złotousty Kręcicki

tu spoczywasz? poczekajno, trzeba cię stąd wykręcić." Worek schował, tablicę napowrót położył, a do dawnego napisu dodał: „Zmartwychwstał, nie masz go tu."

* * *

W kościele św. Piotra w Krakowie, za biskupa Sołtyka, siedział w konfesjonale kleryk, ex jezuita, który, że był nieco mente captus, nie był dopuszczony do święceń kapłańskich. Góral jakiś, nie mogąc się docisnąć do komunji, po odprawieniu spowiedzi, udał się do owego półgłówka z prośbą o komunję. Ten, pragnąc zabawić się prostotą wieśniaka, wystrzygł komunikanta z pergaminowej okładki książki i włożył go do ust klęczącemu. Trudno było biedakowi połknąć skórę, żuł ją więc i obracał w gębie z kilka godzin nim odważył się połknąć, a spotkawszy sąsiada, przyznał mu się, że natrafił na jakiegoś księdza niedouczonego, który zamiast Boga Syna, dał mu Boga Ojca, a ten dla starości swojej tak był twardy, że ani rusz spożyć go nie mógł. Naturalnie gdy się to rozniosło po mieście, zgorszony biskup usunął kleryka.

Z czasów króla Poniatowskiego.

Król Stanisław August jadąc z Kaniowa zatrzymał się na, stacji gdzie przeprzęgano konie. Znużony jazdą, wziął pod rękę któregoś z szambelanów i puścił się pieszo do wioski. Ludność zebrana oczekiwała na króla. W skromnej odzieży i pieszo idący Stanisław August nie zwrócił niczyjej uwagi, chyba, że brany za jednego z przydwornych, musiał odpowiadać na zapytania o królu. Doszedł wreszcie przed wiejską plebanję z kościółkiem, noszącym widoczne ślady starości. We drzwiach świątyni, stał równie stary i pochylony wiekiem pleban, czekając na przybycie króla.

Na ten widok wzruszający i smutny, zatrzymał się król cokolwiek opodal, a chcąc zostawić szczodrą jałmużnę, zaczekał na przyjazd swojego dworu. Wkrótce odgłos krzyczącego ludu i turkot powozów zapowiedziały zbliżanie się orszaku. Wtenczas dopiero, kiedy przybyli dworzanie, zdjąwszy pokornie czapki, otoczyli pieszo przybyłego wędrowca, lud poznał w nim oczekiwanego gościa i okrzyki podwoiły wrzasku. Ten ruch i wrzawa rozweseliły cokolwiek zamyślone oblicze monarchy, a widząc otwarte drzwi kościółka przypomniał sobie, że znów długiej oracji wysłuchać musi.

Jak tylko stanął na progu kościoła stary, drżący pleban podniósł krzyż do góry i rzekł:

— „Królu ziemski, wejdź do świątyni króla niebieskiego!"

I podał krzyż do pocałowania Stanisławowi Augustowi.

Uderzony tą zwięzłością uroczystej przemowy i drżącym od starości głosem kapłana, król spojrzał na mówiącego i powiedział:

— „Proszę księdza powtórzyć."

Starzec powtórzył pierwsze swe słowa i król ucałowawszy krzyż wszedł do walącej się prawie kaplicy.

Opatrzywszy wszystko i naradziwszy się z księciem Ogińskim, król obiecał plebanowi własnym kosztem wyrestaurować dom Boży, a obracając się do synowca ks. Stanisława:

— Mości podskarbi! powiedział, proszę dać tysiąc złotych księdzu plebanowi.

— Proszę Waszej Królewskiej Mości powtórzyć, powiedział starzec, kłaniając się nisko.

Rozśmiał się Stanisław August na te dowcipne słowa i sumę podwoił.

* * *

Wiadomo, że Stanisław August rozdawał na prawo i lewo ordery. Awanturnicy z całego świata pysznili się orderem orła białego lub szambelańśtwem. Stąd złośliwa anegdota: król, dając jednemu obieżyświatowi order, powiedział:

— Daję-ć order, przyjacielu, lecz mam prośbę do ciebie. Czy spełnisz ją?

— Z rozkoszą, Sire!

— Oto, zdejmij ten order, gdy cię będą wieszali!

* * *

Gdy słynny awanturnik Casanova przybył do Warszawy i pysznił się swym nieprawnym tytułem: „kawaler Casanova de Seingalt“ zapytano go w urzędzie marszałkowskim jakiem prawem używa przydomka szlacheckiego. Dowcipniś odpowiedział spokojnie:

— Prawem alfabetu!

* * *

Na uroczystej gali dworskiej pojawił się raz Radziwiłł „panie kochanku“ i butnie przechadzał się po sali. Gdzieś w przejściu zamachnął się i uderzył wylotami kontusza

w twarz ks. prymasa Poniatowskiego. Ubolewano przed księciem, że mu się taka nieuwaga przytrafiła i sam prymas wziął to za przypadek. Lecz książę odrzekł:

— Tak chciałem, panie kochanku. Tak chciałem...

* * *

Stanisław August, spostrzegłszy na pokojach zamkowych nieznanego sobie szlachcica, stojącego na uboczu i bojaźliwie spoglądającego wkoło, chciał go ośmielić swoją uprzejmością; zbliża się więc do niego i zapytuje jakby z niechcenia: „Czy nie widział Waszmość starosty Morskiego?“

Pomieszany pytaniem króla szlachcic, nie znając ani słysząc o dygnitarzu tego nazwiska, odpowiada drżącym głosem: „Najjaśniejszy Panie! Na obrazku widziałem już nieraz psa morskiego i świnię morską, ale starosty morskiego jeszcze nigdy widzieć mi się nie zdarzyło.“

* * *

Tadeusz Czacki, słynny z swego roztargnienia, bawiąc raz w Warszawie, przyjmował króla St. Augusta u siebie. Wśród przygotowań do tego przyjęcia, mając zawsze za mało czasu do zaspokojenia żądzy szperania w starych księgach i rękopisach, czytał w najlepsze, swoim zwyczajem wyciągnięty na podłodze twarzą na dół. Wtem służący zadyszany przybiega oznajmić mu, że król się zbliża, Czacki zrywa się czem prędzej z ulubionego swego legowiska, zrzuca wygodne, acz niebardzo przyzwoite jak na przyjęcie króla ubranie, przyczesuje naprędce rozczochrane włosy i w wielkim pośpiechu porywa za leżącą na stole wstęgę Orła Białego, którą zawiesza sobie przez prawe ramię w przekonaniu, że jest w całym komplecie swej tualety, znika z oczu żdziwionego służącego i wybiega na przyjęcie króla, którego sześciokonna kareta wjeżdżała właśnie w bramę pałacu. Można wystawić sobie zdumienie obecnych na widok gospodarza, całego w bieli, to jest w koszuli,

w sukiennych białych indespensablach, z wstęgą orderową na wierzchu. Król który znał roztargnienie Czackiego, widząc go w tym stroju, wstrzymał duszący go śmiech i ściskając za rękę przywitał:

— Jak się miewasz mój starosto? — ale cóż u kata dziwnie mi jakoś wyglądasz w tym stroju niezwykłym!

Żart ten króla otrzeźwił biednego uczonego, który widząc się w obecności króla w takim negliżu, pomieszany i zrozpaczony, pobiegł do swego pokoju dla przebrania się.

* * *

Razu pewnego do ks. Radziwiłłowej w Arkadji przybyło z Warszawy wiele gości wytwornych i znakomitych. Zebrane towarzystwo postanowiło użyć przejażdżki po jeziorze na małym, płaskim galarze. Nie obliczono jednak ciężaru i ledwie od brzegu odbito, galar zaczął tonąć i na dnie osiadł. Ci, których wzrost wysoki lub umiejętność pływania od zatonięcia ocaliły, wyciągali z błota omdlałe damy. Książę Stan. Jabłonowski, który się także na statku znajdował, a był wtenczas po uszy zakochany w pannie Ewie Kickiej, o niczem innem nie myślał, tylko o uratowaniu przedmiotu swojej miłości. Więc jej długo szukał w wodzie. Co którą damę wyciągnął — to nie ta! mówił i napowrót nielitościwie do wody ją rzucał z powrotem, dopóki nie natrafił na swą zgubę.

* * *

Ks. Hieronim Radziwiłł był szalonym raptusem i trzymał całą Litwę w postrachu. Jąkał się okrutnie. Nigdy się w życiu nie upijał i pijanych straszliwie nie lubił. Skazywał na śmierć za samo pijaństwo. Przy tem wszystkiem miał książę jednak swoje chwile opamiętania i wspaniałomyślności.

Zdarzyło się, że raz księcia pana spoił w probostwie ksiądz Riokur, chciał go bowiem złapać na gorącym uczynku i dowieść, że nawet księciu może się przydarzyć jaki

niesprawiedliwy wypadek. Wraca książę do zamku i naturalnie, jako nieprzytomny, zatacza się po schodach. Widział to żołnierz stojący na szyldwachu, bo jakże nie miał widzieć? a rachując może na nieprzytomność księcia, odezwał się głośno do swojego towarzysza:

— Patrz, upił się jak... a gdyby to człowiek był zrobił, toby go powiesił bez namysłu.

Ale książę, który dobry miał słuch, wrócił do siebie na górę, kręcąc się ze złości jak djabeł.

— Za... za... za... wołaj mi wa... wasan tego żołnierza — wrzasnął do któregoś ze służby. Posłany pobiegł ze strachem, donosi winnemu żołnierzowi o rozkazie.

— Bójże się Boga, cóżeś zrobił nieszczęśliwy? pyta się go.

— A cóż... — była odpowiedź — mówiłem, że książę spił się, żeby to przydarzyło się człowiekowi, byłaby dopiero bieda.

— Ha, idź, niema rady — mówił posłaniec — niech cię cudem Bóg uratuje.

Żołnierz ze straży poszedł więc na górę, ale z fantazją, jakby nic sobie z tego wszystkiego nie robił.

Zobaczywszy go, książę Hieronim wrzaśnie:

— A cóżeś ty po... po... po... powiedział?

— Powiedziałem to, co prawda — odparł żołnierz — nigdym W. Ks. Mości pijanym nie widział i powiedziałem, że W. Ks. Mość spiłeś się jak... i żeby to biedny człowiek tak zrobił...

— Do... do... dobrześ wasan powiedział, jesteś waspan sierżantem.

I nadzwyczajnym cudem się stało, że żołnierz księcia Hieronima, pierwszy raz może i ostatni, wyszedł dobrze na nieostrożnem słówku.

(J. BARTOSZEWICZ.)

* * *

Innym razem, książe więcej ponury siedział w oknie zamku i spoglądał na dziedziniec. Wtem ujrzał, jak ktoś

z jego służby chodził przed bramą tu i tam, jakby kogoś oczekiwał. Książę podejrzliwy wyszedł z pałacu i poprostu zmierza ku bramie, dosyć oddalonej od zamku. „Poco tutaj chodzisz?“ pyta się tego co chodził. Ten, nagle zagadniony, myślał, że dobrze się znajdzie, kiedy odpowie: „Chcę być zawsze na usługach Waszej Książęcej Mości, więc jestem mu na widoku.“ Radziwiłł, który się znał na tych dworskich grzecznościach, rozgniewał się niepomału. — „No, zawołał na sługi — po... po... wiesić go!“ a zwracając się do nieszczęśliwego: „teraz waćpan bę... będziesz mi zawsze na widoku.“ Rozkaz co do joty wypełniony został.

* * *

Wśród wiarusów Napoleona.

W dawnym żytomierskim powiecie w okolicy Lubaru, znanym był około 1825 r. jowjalny staruszek Jan Nepomucen Wolski. Zawsze kręcił się od domu do domu, jeździł, opowiadał bajki i wymysły własnej imaginacji, które nieskończenie śmieszyły i bawiły słuchaczów.

Wolski wstąpił do wojska polskiego, za Kościuszki i Napoleona trochę służył i zwykle go odtąd nazywano majorem. Najwięcej lubił opowiadać o Rynaldzie Rynaldinim, o walce z Brytanami na wyspie Hajti i o cesarzu Napoleonie. Powiadał, że on tylko i cesarz Napoleon, mieli kartę bezpieczeństwa od Rynaldiniego, — „niepamiętam co tam było napisano, wiem tylko, że drukowanemi nie były," jaka szkoda. Zapewniał, że Napoleon był jego najserdeczniejszym przyjacielem i byli razem pod piramidami.

— „Pod piramidami zajmowałem się przyjęciem Napoleona i chciałem po znojach przyjaciela przyjąć lodami, ale lodu tam nie było; przypomniałem sobie, że w Polsce im większe było gorąco w lecie, tem większy chłód w głębi lochu. Niewiele myśląc, wziąłem puszkę cynową i tak się głęboko wkopałem pod ziemię, że doskonałe zrobiły się lody. Cesarz zgadł przy deserze, że „tylko Jaś mógł wymyśleć sposób, aby zrobić lody w Egipcie."

Zawsze go Napoleon nieinaczej, tylko po imieniu nazywał.

„Pod Austerlitz cesarz się trochę zmieszał i mówi do mnie: „A co Jasiu rejterujmy się?" — „Nie Lamprur (tak Napoleona nazywał) trzymajmy się pierwszego planu." „Tak mówisz Jasiu? dobrze!" i wygraliśmy. Cesarz mi dał za tę radę tabakierkę. „Lamprur — rzekłem — a mnie to na co? Tabaki nie zażywam." „Zda ci się", rzekł. Nosiłem

przy sobie tabakierkę, jakieśmy rejterowali się z Moskwy, prosi mię jeden z kolegów o tabakę, dobywam tabakierkę... patrzę w niej futro, samem się nagrzał i kolegom udzielił. Byliśmy w San Domingo, patrzymy z za góry tuman naprzeciw nam dąży, ale nie widzimy pod tumanem wojska, cóż powiecie? Dzicy ludzie 24000 wściekłych brytanów na nas wypuścili. Ale jakoś udało nam się obu z Napoleonem uciec szczęśliwie."

Tak opowiadał kochany pan Wolski i święcie wierzył w prawdziwość swoich historyjek.

* * *

— Kapitan Bieńkowski, dzielny żołnierz napoleoński, lnbił opowiadać niestworzone rzeczy, które jakoby mu się przytrafiły w życiu. Kiedy raz była mowa w towarzystwie o starych miodach, opowiadał, że będąc w marszu do Moskwy, stał kwaterą na Litwie u księdza. „Otóż kiedy ksiądz rozochocił się i począł oficerów raczyć doskonałemi nalewkami — opowiadał p. kapitan — tak na koniec wydobył butelkę starego miodu. Fiu! Butelka ogromnie omszona, a kiedy z niej dał nam po sporym kieliszku, zaraz nas senność opanowała. Poszliśmy spać — no i cóż Asaństwo na to powiecie, że ja w nocy, uczuwszy małe wstrząśnienie, znalazłem się nagle w łóżku mego kolegi, a on w mojem. Miód przerzucił nami, jak piłkami i to przez dość szeroki pokój. Ba, ale był stary!"

Raz trafił na żartownisia, który się także puścił na blagowanie. Ten znów dowodził, że pewien oficer w Hiszpanji miał faworyta charta, który zawsze w otworze armatnim sypiał. — Chart ten, tak był lotny, iż kiedy raz niespodziewanie kazano dać ognia, przebudzony kulą wylatującą, począł przed nią uciekać i jeszcze obracając się warczał na nią, że go goniła. I co pan kapitan powie — kończył kpiasz — chart uciekł!

* * *

Razu pewnego — opowiada porucznik Józef Rudnicki — stanął nasz bataljon w miasteczku Tembleye w Hiszpanji, a ja dostałem kwaterę u księdza proboszcza. Skorom się tylko ulokował, mówię ordynansowi, aby jak zwykle i tym razem zgotował co do posiłku, a ten ordynans bardzo mało mówił po hiszpańsku. Wziął przeto duży nóż w rękę, poszedł z nim do kuchni i kucharce rozkazał sobie dać kurę, pokazując, że ją chce zarznąć i z niej rosół zgotować. Hiszpanka ujrzawszy w ręku nóż i usłyszawszy żądanie żołnierza, nuże krzyczeć nielitościwie ratunku! Na ten nieznośny hałas wypadam z mojego mieszkania i pytam o powód. Baba na klęczkach z płaczem błaga mię, abym darować raczył życie najlepszemu z całych okolic księdzu, dodając, że chętnie chce dać wszystko, co tylko w domu posiada, byleby można przy życiu zachować najlepszego *„cury;“* okazało się, iż to było nieporozumienie pomiędzy Polakiem a Hiszpanką, że kura nazywa się po hiszpańsku *„galina“*, a proboszcz nazywa się „kura“. Straszono biedną kucharkę, że Polacy jedzą żywcem ludzi i stąd wniosła, że ja na śniadanie księdza w rosole zjeść postanowiłem.

* * *

Podczas oblężenia Saragossy, mieszkańcy chroniąc się do miasta unieśli wszystką żywność ze sobą. Nędza i głód między wojskami Napoleona były wielkie. Kradli też sobie nawzajem stworzenia nadające się do jedzenia. Porucznik z 2-go pułku Legji, Kaliński, dostał skądś osła, a lękając się, żeby mu go nie ukradli w nocy, przeciągnął postronek od osła przez dziurę, umyślnie w baraku zrobioną i przywiązał sobie do ręki. Jakież było jego zdziwienie, kiedy rano spostrzegł u postronka nie osła całego, ale tylko... jego głowę!

* * *

Między rannymi w tej szarży leżał pod zabitym koniem Andrzej Niegolewski, znakomity później poseł z Po-

znańskiego na Sejm berliński. W okropnycch bolach wołał: „Czyż się nikt nade mną nie zlituje i nie dobije mię, bo tych boleści już wytrzymać nie mogę!“ Wtem poczciwy wiarus zbliża się do niego z karabinkiem, odwodzi kurek i przykłada mu lufkę do głowy. Wtenczas Niegolewski: „a cóżem ci szelmo zawinił, że chcesz mię zabić?“ Nieraz mu to koledzy przypominali, bo żył długo.

* * *

Za księstwa warszawskiego w czasie rozmowy z dygnitarzem francuskim w Warszawie, gdy mu się żalił Marcin Badeni na wygórowane wymagania francuskie, Francuz oparty na swojem znaczeniu, rzekł do niego: „Jesteście nam niewdzięczni, a przecież zdjęliśmy z was kajdany pruskie...“ Badeni dotknięty wymówką, odpowiedział mu: „Tego nie przeczę, ale, na nieszczęście stało się to wraz z naszemi butami.“

* * *

Księciu Józefowi Pon., jako ministrowi wojny, oddano dekretem królewskim rozdawanie wskrzeszonych krzyżów wojennych. Rozdano je wszystkim generałom, pułkownikom, wielu oficerom, niektórym żołnierzom, a byli wśród nich ludzie, którzy żadnych zasług nie położyli. Niezadowoleni, korzystając z tego, że ks. Józef mieszkał „pod Blachą“ ukuli dowcip: „nie dziw, że krzyże te lekkie, bo z blachy,“ tudzież doskonały dwuwiersz:

„Patrzajcie, przyjacielu, kochany mój kmotrze,
Przedtem był łotr na krzyżu, dzisiaj krzyż na łotrze.“

* * *

W czasie pobytu wojsk francuskich w Warszawie ogłoszono rekwizycję koni. Mieszkał wówczas w stolicy pan Husarzewski, staruszek zamożny i oryginał. Lubił grywać na skrzypcach tak dalece, że w karecie jego znajdo-

wał się zawsze instrument i pulpit z nutami. Skoro mu więc ochota przyszła, otwierano na wszystkie strony karetę i Husarzewski dawał koncert bezpłatny. Posiadał on także konia, niekształtnego wprawdzie, ale maści oryginalnej, bo na białem tle pocentkowany był łatami gliniasto-czerwonemi. Na tym koniu codziennie o tej samej godzinie wyjeżdżał w Ujazdowskie aleje.

Owóż w nieszczęsnej chwili rekwizycji zawiadomiono staruszka, że jego wierzchowiec ma być zabrany. Dla ocalenia ulubionej szkapy, prowadzi ją Husarzewski w nocy po schodach na strych, tam ją uwiązał i sam nosił jej wodę, owies i siano, bojąc się, by go kto ze służby nie wydał. W kilka jednak dni koń urwał się z uwięzi, przyszedł do dymnika, szturchnął głową w okienko i wybiwszy je począł na ulicę wyglądać. Naturalnie spostrzegli go przechodzący żołnierze francuscy. *Voilá camarade!* rzekł jeden do drugiego *voyez donc le coucou?* Konia natychmiast zabrano. P. Husarzewski ze zmartwienia ciężko się rozchorował, a żona z płaczem udała się do pani Vauban, kochanki ks. Józefa Poniatowskiego. Dopiero ks. Józef po złożeniu ceny wartości konia, kazał oddać go p. Husarzewskiemu, który odrazu uzdrowiony, zwykłe swoje przejażdżki na nowo rozpoczął.

* * *

— Do znakomitszych postaci na Podolu należał Aleksander B ł ę d o w s k i z Błudowa, pułkownik wielkiej armji Napoleona, który odznaczał się szaloną odwagą. Kiedy w 1809 r. wybuchła wojna francusko-austrjacka, rząd rosyjski zabronił młodzieży polskiej z Wołynia, Podola i Ukrainy wyjeżdżać do Galicji i polecił władzom mieć na oku patrjotycznych obywateli. W oryginalny sposób potrafił się uwolnić z pod tej opieki major Aleksander Błędowski. W majątku jego konsystował sztab jakiejś komendy z jenerałem na czele, który ciągle z oficerami gościł w jego domu. Błędowski jednak zamierzał

za wszelką cenę przedrzeć się do Galicji i upatrywał stosownej chwili do urzeczywistnienia obmyślonego fortelu.

Kiedy raz goście dobrze podchmieleni udali się na spoczynek, Błędowski kazał wezwać swego koniuszego, polecając mu pod tajemnicą, żeby tej samej nocy wysłał pośpiesznie z wiernymi ludźmi konie osiodłane, na trakt radziwiłłowski i rozstawił je w miejscach oznaczonych. Po odejściu koniuszego wsypał do trzosa parę tysięcy dukatów, spalił niepotrzebne papiery, nabił ostro parę pistoletów i położył się do snu. Nazajutrz po bardzo sutej libacji zapytał swych gości, czy nie chcieliby zabawić się przeglądem jego koni wierzchowych. Goście zgodzili się na to z największą ochotą, przenosząc się na ganek. Przyprowadzono dzielne konie, a między nimi jednego osiodłanego. Jeden z oficerów zapytał, na co koń pod siodłem. Chciałem wam pokazać — rzekł Błędowski — jak się koń polski wydaje pod jeźdźcem polskim. Po tych słowach wskoczył na siodło, spiął konia, ruszył ostro z miejsca i po różnych ewolucjach znikł z przed oczu widzów. Moskale czekali nieporuszenie powrotu jeźdźca — czekali i nie doczekawszy się, pozasypiali na ganku, a kiedy się otrzeźwili, Błędowski już dawno dojeżdżał na rozstawionych koniach do granicy galicyjskiej.

Ten sam Błędowski na wieść o wybuchu powstania listopadowego, postanowił odrazu przekraść się do Królestwa. Ale jak? Cała okolica zalana wojskami rosyjskiemi, w Łucku zaś konsystuje główny sztab korpusu jenerała Krajca. Wtedy Błędowski wpada na pomysł oryginalny. Ubiera się w swój paradny mundur napoleoński, zawiesza na piersi wszystkie ordery i otwartym powozem, w sześć prześlicznych koni zaprzężonym, wjeżdża w południe do Łucka. Liczne pikiety i straże,widząc wspaniałą, marsową postać w jeneralskich szlifach, broń skwapliwie prezentowały, nikomu zaś ani na myśl nie przyszło, że przepuszczają „miatieżnika“. Śmiały fortel powiódł się doskonale, Błędowski dostał się szczęśliwie do Warszawy i brał udział w bitwie pod Grochowem.

* * *

Któregoś roku, już po kongresie wiedeńskim i po ostatecznym upadku Napoleona I. w dzień imienin cesarza Aleksandra I., wielka iluminacja płonęła w Warszawie, każdy starał się upiększyć ją, wiele było transparentów. Zółkowski wystawił w swojem mieszkaniu także transparent wielkich rozmiarów, na którym kazał odmalować litery: N-A-P-O-L-E-O-N. Kiedy o tem doniesiono wielkiemu księciu Konstantemu, kazał zawołać artystę i z wielkim gniewem objawił mu, że już jego koncepty przebrały miarę, kiedy nawet pozwala sobie robić naśmieszki z cesarza, że tym razem już mu nie przebaczy i każe go natychmiast wziąść do aresztu o chlebie i wodzie. — „Cóż ja winien — powiedział on — że Wasza Książęca Mość i jego policja nie umieją czytać; tam nic złego niema." — „No znowu jakaś farsa, gadaj prędzej, tłumacz się." — „Na moim transparencie są początkowe litery wyrazów: **N**ajjaśniejszy **A**leksander **P**awłowicz, **O**dkupiciel **L**udów **E**uropy, **O**jciec **N**asz." — Wielki książę rozweselił się, przebaczył, ale transparent kazał zdjąć.

* * *

Generał Jan Henryk Dąbrowski, przesiąkły przez lat tyle francuską niedbałością w noszeniu munduru, nie zwracał nigdy uwagi na to, czy mundur jego zapięty lub nie zapięty przed W. Ks. Konstantym. Im był obszerniejszy, im był wygodniejszy, tem był lepszy; inni zaś musieli jak wiadomo, wyglądać jak wystrugani żołnierze na jarmarku. Brak etykiety u Dąbrowskiego, gniewał Konstantego, ale że mu ten imponował, więc nie śmiał go nigdy napastować. Razu jednego, na paradzie, z wyrazem dobrego humoru na twarzy, dojechał książę do Dąbrowskiego, pytając go po francusku, u kogo każe robić swoje mundury, jak się ten krawiec nazywa. Jenerał myśląc, że może francuska moda zaczyna się księciu podobać, pośpieszył się wypowiedzieć nazwisko swego krawca. Książę na to odwraca się do swego adjutanta, Bontemps, który się zawsze trudnił wojskowem ubraniem księcia i mówi do niego:

— Pamiętaj Bontemps to nazwisko! Żebyś temu krawcowi nie dał przypadkiem robić munduru!

Poczem odwrócił się z uprzejmym uśmiechem do jenerała, który skłonił się nisko i powiedział:

— Widzę, że W. Wysokość nie lubi mody francuskiej!

* * *

Panna Zarębianka.

Pewnego wieczoru (uczeń szkoły podchorążych) Edmund Zaręba, drobnego wzrostu, a gładkiego lica, wracając z drugim koleżką od matki z niedzielnego wyżerunku, przebrali się w suknie siostry i dorożką zajechali przed szkołę. Wszedłszy niepostrzeżenie do koszar, wielką sprawili nam radość. (Opowiada o tem kolega Zaremby, Pląskowski.) Hoże dziewuchy całowano i ściskano serdecznie, jak prawdziwe, a hulano z nimi jak z baletnicami. Bortnowski, który miał dyżur, zwabiony do sali niezwykłem ożywieniem i hałasem, osłupiał na widok niewiast pośrodku kadetów.

— My z naszej strony zmyślili przestrach, poczęli uciekać, chcieli dziewczęta ukryć lub uprowadzić. Bortnowski, nie domyślając się podstępu, począł biegać za dziewczętami, łapać je, krzyczał o pomoc na podchorążych, stojących na straży i wśród głośnego zamieszania, z wielkiem umęczeniem ciała i umysłu, pochwycił nareszcie owe dziewuchy. Dziewczęta w płacz i przed nim na kolanach, załamując ręce, prosiły o przebaczenie i wolność, lecz surowy Cerber, głuchy na wszelkie zaklęcia i przedstawienia, że to są panienki z lepszych domów, zamknął je do szkolnego aresztu i klucz od niego wziął do siebie.

W nocy rozebrały się dziewczęta i przez kratę wydały nam swoje kaftaniczki, spodniczki i czepeczki, które starannie ukryliśmy w naszych siennikach.

Nazajutrz rano, przy zwykłym raporcie, składanym komendantowi szkoły, doniósł Bortnowski z całem namasz-

czeniem służbisty o naszym wybryku i przychwyceniu dwóch dziewcząt na sali jadalnej.

Olędzki, zgorszony naszym postępkiem, kazał nam stanąć do szeregu, wypalił groźną perorę, rozpytywał się o zdarzeniu i szukał winowajców.

Zapytywani tłumaczyli się jednak, iż o niczem nie wiedzą i żadnych dziewcząt na sali nie widzieli. Borowicz i koledzy, będący wówczas na straży, wymawiali się niewiadomością tego, co się na sali działo i nie dawali żądanych wyjaśnień; a gdy udano się do aresztu i Bortnowski własnoręcznie go otworzył, spostrzeżono z zadziwieniem siedzących na pryczy dwóch podchorążych.

Podchorążowie twierdzili, iż oprócz napadu złego humoru pana porucznika, nie znają innej przyczyny uwięzienia, kobiet nigdzie nie widzieli, a gdy i przy nich nic podejrzanego nie znaleziono, Bortnowski, widząc się jakby opętanym od czarta, przeżegnał się krzyżem i wzgardliwie splunął, komendant roześmiał się na głos i całe zdarzenie sennemu rozmarzeniu Bortnowskiego przypisał.

Zaręba został odtąd Zarębianką, jeszcze więcej kochaną od wszystkich. Nikt go inaczej nie nazywał, nawet i wówczas, gdy został podporucznikiem w I-szym pułku piechoty linjowej. W krwawym boju pod Białołęką, polegli za ojczyznę: zwiedziony Bortnowski i hoża Zarębianka...

* * *

Wielki książę Konstanty nienawidził oficerów napoleońskich. Jego prześladowania zmusiły jenerała Chłopickiego do opuszczenia służby. Przypominam sobie piękną odpowiedź tegoż jenerała wielkiemu księciu. Gdy raz defilował na Saskim placu przed swoim oddziałem, wpadł na niego wielki książę, krzycząc swym chrapliwym głosem:

— „Mój jenerale, maszerujesz źle.“

Na to Chłopicki najspokojniej:

— „A jednak tym krokiem Wasza Wysokość szedłem z Madrytu do Moskwy.“

Odpowiedź ta uspokoiła wielkiego księcia, ale mu jej nie zapomniał i coraz bardziej mu dokuczał.

Po upadku powstania listopadowego, gdy obwiniano jenerałów Chłopickiego, Skrzyneckiego, Rybińskiego i Krukowieckiego, jako sprawców klęski, ktoś ułożył dowcipną definicję naczelnych wodzów rewolucji w tych słowach:

„Chłop nas dziś zdradził
Skrzynka nas zamknęła
Kruk oczy wysadził
Ryba utonęła!“

* * *

Około r. 1840 bawił stale w Krakowie ex-dyktator Chłopicki, który po bitwie pod Grochowem przybył pod Wawel dla wypoczęcia na wawrzynach. Pełno go było zawsze na rynku, zwykle w towarzystwie dwóch wymokłych elegantów, braci Moll, który przy imponującej postawie i rumianej twarzy Chłopickiego, bardzo niekorzystnie odbijali. Publiczność krakowska nie lubiła ex-dyktatora i niejednego figla mu wypłatała. Raz n. p. przypięli mu w kościele Panny Marji kartkę z tyłu z napisem: „Dwa Cię mole gryzą, sumienie i opinja!“

* * *

Dowcipy Żółkowskiego.

Jednym z najdowcipniejszych ludzi w Polsce w pierwszej połowie wieku XIX był znakomity artysta warszawski, autor „Momusa“ Alojzy Żółkowski. Dajemy tu kilka znanych powszechnie powiedzeń jego, oraz kilka mniej znanych.

W pewnem towarzystwie toczyła się rozmowa o polityce, a Żółkowski utyskiwał nad tem, że Wielkopolska odpadła od Królestwa Polskiego i dowodził, że z czasem trzeba będzie odebrać Poznańskie. W. Ks. Konstanty, dowiedziawszy się o tem, posłał po artystę. W gabinecie czynił mu ostre wymówki głosem podniesionym, grożąc

kijami na ratuszu. Kiedy Żółkowski wyszedł, otoczono go, pytając, o co poszło? — „Nic — odrzekł — tylko mówiliśmy o polityce i książę za Poznań obiecał Kijów.“

— Żółkowski miał zwyczaj do ról swoich dodawać niekiedy koncepty własne przy sposobności nadarzonej. Nie podobało się to W. Ks. Konstantemu, który wydał rozkaz, żeby aktorowie grali według ról swoich. Wkrótce potem grano sztukę, w której musiał być koń na scenie. Koń ten źle się spisał, bo pozostawił na scenie pokaźny ślad swojej bytności. Żółkowski natychmiast zwrócił się do niego i pogroziwszy palcem, rzekł: „Panie koniu, bardzo proszę na scenie nie robić dodatków niepotrzebnych, bo Jego Książęca Mość zabronił i będzie się gniewał.“

* * *

— Do ziewającego Żółkowskiego, odezwał się młodzik pewien: — Nie zjedz mię pan przypadkiem! Cóż znowu — odrzekł Żółkowski — nie jadam oślego mięsa!

* * *

W r. 1808 kiedy korpus Davoust'a zajmował Warszawę, w jednym pokoju na Suchym lesie znajdowało się osób kilkanaście, a między niemi Żółkowski; w trzecim pokoju opodal czytał gazetę Ludwik Dmuszewski, artysta dramatyczny, a później redaktor „Kurjera warszawskiego.“ Wtem wchodzi oficer francuski w kapeluszu na głowie i nie zdejmując go, każe podać sobie kawy. Oburzyło to obecnych, nikt jednak nie śmiał uczynić żadnej uwagi. Spostrzegłszy to Żółkowski, odezwał się:

— „Panowie! jesteście, jak widzę, obrażeni nieprzyzwoitem znalezieniem się tego cudzoziemca, ale nie macie dość odwagi, aby go do grzeczności nakłonić; muszę się więc za was ująć i zdjąć mu kapelusz z głowy, ale pod warunkiem, że zapłacicie za poncz, który wypijemy razem. Gdy się na to jednogłośnie zgodzono, zawołał na cały głos:

— „Panie Dmuszewski, jak się nazywa ten rodzaj kapeluszy, których się na głowę nie kładzie, tylko pod pachą nosi?“

— „Chapeau bas — odpowiedział Dmuszewski z trzeciego pokoju.

— „Jak?“

— „Chapeau bas“ — Mów głośniej, bo nie słyszę.“

— „Chapeau bas, chapeau bas!“ — krzyknął na gardło całe Dmuszewski.

Francuz, sądząc, że przestroga do niego się stosuje, odkrył głowę; Żółkowski kazał dać ponczu, a obecni naśmiawszy się dowoli, wypili wina na zdrowie Żółkowskiego.

* * *

— Kalasanty Szaniawski wybierał się do Wiednia, asystując ks. Ad. Czartoryskiemu, jadącemu w 1814 r. na kongres. W wilję wyjazdu swego, po teatrze, wstąpił do restauracji Szylera na kapłona, gdzie przy kuflu zastał Żółkowskiego. Zbliżywszy się do niego, rzekł: — „Panie Żółkowski, jadę jutro na kongres, może mi co polecisz, lub dasz jaką radę?“ — „Polecić nie mam prawa — odrzekł — dać radę i to zbawienną, mogę. Jedziesz pan na kongres wszystkich monarchów europejskich, pewnie tam i o nas będzie mowa, radzę więc, abyś wszedłszy na posiedzenie władców tego świata, zdjął perukę z gołej głowy i powiedział: „Panowie, oto jest stan mego kraju!“

* * *

Kalembury z „Momusa.“

Strudzony pod-różą spoczywa.
Widziałem parę wołów w powietrzu.
U-łani mleko wydoili.
Sto-pniów można dostać za sto talarów.
Ile ma lat? — po francusku: Il est malade.

— Zły tłumacz podobny jest do lokaja, który zlecenie pańskie niegodziwie opowiada.

Dawniej była moda chodzić z wylotami u rękawów, a teraz są kieszenie na wyloty.

— Że młodzież nie nosi teraz pasów, to nic nie szkodzi, ale jednak nosi kamizelki w paski i zawsze to są wspomnienia narodowe.

— Dziwna rzecz, że się ludzie płaszczą, czemu nie kontuszą albo żupanią.

— Człowiek podobny do czamarki wyszedł na świat, bo ma różne potrzeby.

— Dawniej mieli Polacy głowy golone, a teraz kieszenie.

— Wszystko się z czasem zmienia. Dawniej golono głowy dla mody, a dziś je golą za karę.

— Jest to osobliwością w muzyce, że trio ozdobiło poloneza i trio mu zaszkodziło (aluzja do trzech rozbiorców.)

— Królowa Bona niedość, że za życia dokuczała Polakom, lecz jeszcze w paręset lat przysłała bony, żeby jej imię nie wyszło z pamięci.

— Jezuici zadawali studentom pensa, a ex-pensa sami brali.

— Turcy nie wierzą w krzyż, a jednak wielu z nich dostało po krzyżu i zaczynają *żegnać* się z Europą.

— Dlatego Polska długo nie pokazywała się na mapie, że była rozebrana.

— Źle jest być półgłówkiem, ale dobrze półgębkiem.

— Rozum, pamięć i wola są trzy różne, ale nieoddzielne dary. Warszawa jednak w tem się nie zgadza, bo ma tylko Wolę, a dwóch pierwszych wiosek jeszcze nie założono.

— Tylko Warszawa może jeździć i chodzić do Woli; inna stolica tego nie dokaże.

— Gdy inne stolice burzą się, Warszawa zachowuje się spokojnie, bo ma *sza* w sobie.

— Pewien jegomość jest dość do Warszawy podobny, bo ma Bagatele w głowie, Fawory u panów, a Czyste w kieszeni.

— Ci, co mieszkają na ulicy Miodowej, to są miodowniki, a na Lesznie, naleśniki.

— W Warszawie w lecie jest tylko jedna ulica Chłodna, a w zimie wszystkie.

— Osobliwie jest Kraków urządzony, bo jego przedmieście jest w Warszawie, a on sam aż pod Karpatami.

— Co też zrobił najlepszego cmentarz, że ma tyle krzyżów?

— W Poznaniu tylko w zimie Warta stoi, w innym czasie nie.

— Kto chce jechać do wód śląskich, musi wprzód Odrę przebyć.

— Były cesarz Francuzów w każdem NB. zostawił cyfrę swoją.

— Podług teraźniejszego słownika obywatel pochodzi od tego, że się bez wielu rzeczy obywać musi.

— Kij nigdy się nie modli, a jednak bywa na pacierzach.

— Króliki najbardziej lubią siedzieć między kapuściannemi głowami.

— Łacina nieoddzielna jest od starożytności i tak na starej sukni często się łacina i to niejedna widzieć daje.

— Przed burzą można się schować do pokoju, a burza polityczna od pokoju zaczyna.

— Ponieważ gmin zwykle grafom zarzuca brak serca, przeto kiedy grafy litują się nad nim, wówczas zwie się to litografją.

— Prawda, że talent zachwyca, ale talent złodziejski więcej zachwyca, niż inne.

— Ludzie nierzetelni powinni się zaliczać do cechu powroźników, bo ustawicznie kręcą.

— Dlatego jest wojna, że pokój zawarty a nie otwarty, gdyby był zawsze otwarty, toby wszyscy w pokoju mieszkali.

— Wtedy biedny ma-gnat, kiedy kości ogryza.

— Polityka choćby sto pokojów zrobiła, to sama zawsze w gabinecie siedzi.

— Zima jest stronnikiem demagogów, bo ile razy nadejdzie zaraz lód (lud) panuje.

— Teraźniejsze zapusty powinny wziąć za herb worek większej części obywateli, bo ten jest za-pusty.

— Kucharze trzymają się praw mędrca ateńskiego, bo każda ich czynność jest Solona.

— Lombard musieli wynaleźć Lombardowie, a gotowizna pochodzi od Gotów, dlatego też podobno z mody wychodzi jako starożytna architektura.

— Lubiano zapewne w Szwecji zupę, kiedy królem obrano Wazę.

— Merynosy to jedyni cudzoziemcy, których my strzyżemy, a nie oni nas.

— Czy na koniu maść gniada, czy siwa, czy kasztanowa, złodzieje nie zważają na to i kradną, dopóki nie spotka się kara, bo ta maść to jedyna na nich.

— Każdy pieczeniarz jest pan z panów, bo żyje z łaski panów.

— Do krawiectwa, szewstwa, stolarstwa i fryzjerstwa biorą się nawet ludzie dystyngowani. I tak jeden drugiemu kurtę kroi, ten temu buty szyje, ten temu stołka przystawia, a prawie wszyscy jedni drugim oczy mydlą.

— Boginię wstydu możnaby odmalówać w postaci pieczeni, bo ta zawsze się rumieni.

— Kapitaliści są niewiniątka, bo nic nie winni.

— Teraz nie ta prasa winna, co wino wyciska, ale wcale inna prasa.

— Od koziego mleka można utyć, a od samej kozy schnąć.

— Cielęta muszą teraz wiele dokazywać, bo ustawicznie obijają się o uszy nasze te wyrazy: stanowi-ciele, zwodzi-ciele, poprawi-ciele, ciemięży-ciele, burzy-ciele.

— Kiedy kula uderzy w nogę, zaraz zrobi tego człowieka swoim imiennikiem, bo kula-wym.

— Kapitan nie powinien się nigdy nudzić, bo ma zawsze kompanję.

Wszyscy ludzie są sobie równi, bo każdy ma dwa łokcie.

— Można pozwolić, żeby Żydzi trzymali szynki, ale wieprzowe, to się sami ich wyrzekną.

Żydzi nie gniewają się, kiedy który z nich przejdzie na inną wiarę, mówią tylko: nam ubył, a wam przybył szachraj.

— Ślusarze nie będą już robili śrub z żelaza tylko z Żydów, bo ci się wszędzie wśrubują.

— Żydzi do trefnego się nie biorą tylko do trafnego i dlatego wszędzie trafią.

Żyd nie jada wieprzowiny, ale bywa jednak, że się prosi.

— Reputacja to jest moralna peruka, pod którą czasem ani jednego uczciwego włoska nie znajdziesz.

— Osobliwa rzecz, że przyjaciel może być fałszywy a nieprzyjaciel nigdy.

— Biedni wieśniacy modlą się najgorliwiej za konie swoich dziedziców, bo gdyby te przypadkiem wyginęły, panowie na nichby jeździli.

— Młodzież choćby najbardziej demokratycznych trzymała się zasad, jednak za orderem podwiązki nigdy wzdychać nie przestanie.

Kościuszko u pani de Stael.

Gdy po upadku insurekcji r. 1794 Kościuszko przybył do Paryża, sława jego imienia i czynu obiegła całą Europę. Wszelakie salony zabiegały o osobę Naczelnika, a upudrowane panie paryskie chciały co prędzej poznać „polskiego Dantona". Ubiegła wszystkie głośna autorka „Corynny", pani de Stael-Holstein, której wreszcie udało się niechętnego do wizyt Kościuszkę uprosić o przybycie do jej salonu. Opowiadają pamiętnikarze francuscy, że był to dzień szczególnie uroczysty dla p. Stael i jej gości. Jedna z uczestniczek tak chwilę ową opisuje: „Rozmowa toczyła się wśród śmiechu, gdy w tej chwili wywołano nazwisko, które sprawiło magiczne wrażenie w całym salonie. Lokaj zaanonsował głośno a nie bez trudności Monsieur le general Kościuszko. Trzeba było widzieć, a raczej słyszeć w owej chwili p. de Stael, która stała się zaraz dla Kościuszki do najwyższego stopnia ujmującą. Wszyscy obecni stwierdzili, że generał jest ogromnie miłym człowiekiem, postać jego pełna gracji, jak u wszystkich Polaków, miała wyraz wojowniczy, a fizjognomja odpowiednia była tak niepospolitemu mężowi." Kościuszko wszakże nie ze wszystkiem zadowolnił ciekawe panie. Gdy bowiem p. Stael zaczęła nalegać, aby coś opowiedział zebranym o bitwie pod Racławicami, Naczelnik odparł krótko i poprostu:

— Umiałem, mościa pani, wygrać bitwę pod Racławicami, lecz nie umię o niej opowiadać!

(P. d' ABRANTES.)

* * *

Szewc Kiliński i hrabina.

Przyjacielem od serca i wiernym towarzyszem pułk. Kilińskiego oswobodziciela Warszawy, był starszy cechu rzeźników warszawskich Sierakowski, ta wielce znamienna postać w Warszawie. Kiedy we dwóch sprawowali władzę municypalną, pani Krasińska żona oboźnego, potrzebując paszportu do wyjazdu, zaprosiła ich do siebie. Obaj jak zwykle przybyli w kontuszach i żupanach.

Po odbytej konferencji wstaje Kiliński i całuje w rękę okrytą rękawiczką, gospodynię domu. Sierakowski zabiera się do złożenia podobnegoż hołdu poważnej niewieście, ale jako człowiek dowcipny i humorysta, staje i z ukłonem przemawia:

— Mój kolega szewc całuje w rękę przez skórę, ja zaś rzeźnik biorę się do mięsa, proszę zdjąć rękawiczkę.

Pani Krasińska z uśmiechem spełniła jego żądanie, a Sierakowski zakręciwszy wąsy, pocałował w białą, gładkości aksamitnej i drobną rączkę.

(K. WÓJCICKI.)

* * *

Skutki lektury.

Gdy Feliński w licznem towarzystwie czytał swoją tragedję „Barbarę Radziwiłównę“, jedna z dam obecnych ciągle się nad pięknością wierszów unosiła, na koniec rzekła: „Te wiersze są tak czułe, że aż czuję ból w boku.“ Siostra ks. Sanguszkowej, bardzo ordynarna osoba, prozaicznie jej odpowiedziała: „Moja Malciu dobrodziejko, to nie wiersze, to wiatry. Ja to często miewam, zaraz każę rumianku zgotować!“

* * *

Humor Mickiewicza.

Po rewolucji w r. 1848 pojawiło się pewnego razu u Adama dwóch młodzieńców. Fraczki, kamizelki, jak prosto z igły.

— Skąd przyjeżdżacie? — spytał.

— Z kraju — odrzekli unisono.

— No, cóż chłopacy dorosłe, byliście na wojnie? w powstaniu?

— Nie, proszę pana Mickiewicza.

— A czemuście to nie byli?

— A dlatego, że mama powiedziała, że ma nas tylko dwóch jedynaków, więc pozwolić nie może.

Adam roześmiał się serdecznie.

— A pocóżeście tu przyjechali?

— Na wyuczenie się w języku.

— Taak... i cóż wam więcej mama powiedziała?

— Żebyśmy pana Mickiewicza poszli zobaczyć.

— I widzieliście mię już z przodu?

— A tak.

— No to teraz zobaczcie, jak w tyle wyglądam.

Poczem obróciwszy się do nich plecami wyszedł z pokoju, zostawiając młodzieńców mocno skonfudowanych.

* * *

Mickiewicz fotografował się w roku zgonu swego u Michała Szwajcera w Paryżu, a usadowiwszy się do zdjęcia, rzekł żartobliwie:

— To jak uważam, trzeba będzie pozować?

Ujął tedy stojący przy kominku pogrzebacz i rzekł:

— Ot, widzisz, tak będzie najstosowniej z koszturem, bo tu na emigracji, to my wszyscy dziady jesteśmy.

I tak się kazał fotografować.

(LENARTOWICZ.)

* * *

Zapytany Mickiewicz, czy wierzy w to, że świat się kiedyś może skończyć — odpowiedział:

— Wierzę i wiem nawet, kiedy to nastąpi! Będzie to na drugi dzień po tem, gdy uczeni dowiodą: że się nigdy skończyć nie może!

* * *

Koncert Chopina.

Chopin, naglony prośbami uczenic swoich Angielek, wybrał się do Anglji. Grywał wtedy już bardzo rzadko i za warunek nawet pięknym swym uczenicom położył, że bronić go będą w tej mierze przeciw znajomym swoim. Koncertem swoim porwał i uniósł do siódmego nieba rozmarzone i rozszlochane córy Albionu. Dwór zażądał posłyszeć mistrza. Chopin ustąpił miłym naleganiom. Wyznaczono porę, a królowa przez wielki fawor sprosiła na ten wieczór kwiat arystokracji.

Przybył nakoniec oczekiwany Chopin. Wprowadzony na ogromne salony windsorskiego zamku, otoczony tłumem pięknych kobiet, daje się prowadzić do otwartego fortepianu i zaczyna swój hymn nadziemski. Aż tu w chwili najwyższego uniesienia artysty, stara księżna Kent, matka królowej Wiktorji, ogromnej tuszy niewiasta, nie mając dosyć samych tylko dźwięków, a chcąc lepiej przypatrzyć się chudej, maleńkiej postaci Chopina, wstaje ze swego miejsca i o dwa czy trzy kroki usiada przed mistrzem.

Mistrz nie spostrzega tej książęcej ciekawości, kiedy raptem czterech wielkich drabów porywa fortepian jak piórko i unosi go z przed nosa artysty... Żdziwiony, przestraszony, osłupiały Chopin, z podjętemi do góry rękoma, nie wie, co się stało. Lecz w tejże chwili z uśmiechem ugrzecznienia zbliża się ku niemu mistrz ceremonji i tłumaczy odurzonemu artyście, że etykieta dworu angielskiego nie pozwala na to, aby ktokolwiek z książąt krwi panującej zbliżył się do siedzącego artysty na taką małą przestrzeń, jaka była pomiędzy nim a księżną Kent.

Drażliwy Chopin zawsze powtarzał, że wśród tej eksplikacji, ogromną miał pokusę, odgryźć nos szepczącemu Anglikowi, ale bacząc na polityczne następstwa, uniósł się cierpliwością, skończył jak mógł rozpoczętą muzykę i do grobu poniósł niezatarte w duszy wspomnienie brytańskiej etykiety.

(DZIENNIK LITERACKI, 1858.)

* * *

Dumna odpowiedź Krasińskiego.

W czasie kiedy Z. Krasiński pisał „Nieboską“, zwykł był do niego przychodzić jakiś pan Krysiński Niedość, że go nudził światową paplaniną, ale jak to często czynią ludzie podobnego pochodzenia, parwenjusze, poufalił się z nim, co do tego posuwał stopnia, że aż go zwał Zygmusiem. Jednego razu, gdy wszedł tak szybko, że poeta nie zdążył usunąć swoich papierów, zastaje na stole tylko co zaczęty arkusz „Nieboskiej“ w tem miejscu, gdzie *Chór Przechrztów* występuje. Wyrazy te olbrzymiemi literami wypisane, wydały mu się zgubną odprawą, po kilku też słowach wziął za kapelusz i już nieprędko wrócił. Ale gdy znowu powrócił, począł jak dawniej Zygmunta zwać poufale zdrobniałem imieniem. Wtedy już ten nie mogąc dalej wytrzymać, za każdym frazesem dodaje monsieur le comte. Na to Krysiński:

— Ależ ja nie jestem hrabią.

— Jeżeli pan nie jest hrabią, to ja nim jestem! odpowiedział dumnie Krasiński.

(ST. KOŹMIAN.)

* * *

Wincenty Pol u Goethego.

Wincenty Pol, wracając z Niemiec do Drezna, wstąpił umyślnie do Wejmaru, by starać się o zbliżenie do Goethego. Okoliczności przyjaźnie się złożyły i wkrótce został przyjęty.

Wszedłszy do gabinetu Goethego, zastał go siedzącego przy biurku i zaczytanego w jakiejś grubej książce. Pol zrazu nie chciał przerywać, ale gdy czytanie zbyt długo się przeciągało, odkaszlnął, znowu chrząknął, lecz daremnie. Goethe nie odrywał się od książki. Znudzony długiem wyczekiwaniem, ujął za klamkę, lecz wraz też i Goethe powstał od biurka i zawołał żywo:

— Pan jak widzę, jesteś gorąco kąpany!

— Bo też z ognia wracam, — odparł Pol, wskazując na swój mundur wojskowy, na którym błyszczał krzyż „virtuti militari.“

(W. BEŁZA.)

Z rymów pana Rozbickiego.

Soter Rozmiar Rozbicki, osławiony wierszokleta, był to chłop duży, raczej do rzeźnika niż do poety podobny. Siedlisko swe miał w kawiarni „pod dzwonnicą“ na Krakowskiem przedmieściu. Za 5 groszy deklamował swoje wiersze, pobrzękując na gitarze. Rozbicki pisał bajki, wiersze, dramaty, a im więcej płodził, tem mniej sensu w tem było. Najpiękniejszym jego utworem była następująca bajka:

Nie było na świecie
Dwóch gołąbków przecie,
Którzyby się,
Kochali się,
Jak my się,
Kochamy się...
Ale o! zgrozo!
Ojciec nam zagroził kozą!
Lecz ja byłbym cymbał,
Żebym się go bymbał...
Stąd się sens taki wywodzi,
Że pięknej panny kochać nie zaszkodzi!

Najdziwaczniejszy tytuł bajki, nie mający żadnego związku z treścią opiewa: „Wróbel i armata.“

* * *

Car Mikołaj I.

— Zgadnijcie w czem jestem podobny do króla polskiego Jana III? zapytał raz swych dworzan okrutny car Mikołaj I. w czasie, gdy wojska rosyjskie zdusiły rewolucję węgierską.

Naturalnie nikt nie znalazł odpowiedzi.

— Otóż w tem, że obaj popełniliśmy to samo głupstwo.

— Jakież to Najjaśniejszy Panie?

— Ocaliliśmy Wiedeń!

Gdy książę Paszkiewicz żądał od Mikołaja łaski dla kilku Polaków obwinionych o znaczny deficyt pieniężny, ale zresztą zdaniem księcia szczerze Rosji przychylnych, odpowiedział cesarz Mikołaj:

— Widzę, że w Polsce tylko złodzieje są mi oddani.

* * *

Na dworze cara Mikołaja I. szczególnemi względami cieszył się zmoskwiczony Polak Michał Wielhorski. Stary bywalec, bardzo wykształcony i pianista niezrównany, ale bardzo roztargniony. Carowa Aleksandra lubiła go bardzo i przebaczała mu chętnie wykroczenie przeciw etykiecie.

Pewnego wieczoru, proszony przez carowę, by zagrał na fortepianie, wstał z fotelu z filiżanką herbaty w ręku i usiadł do gry. Zajęty pomysłem muzycznym, wypił trochę herbaty, poczem nie odwracając się i nie mówiąc słowa, wyciągnął rękę z filiżanką za siebie, myśląc zapewne, że ją lokaj odbierze. W tej chwili właśnie carowa stała za fotelem obok fortepianu. Wzięła uśmiechając się filiżankę a oburzonych dworzan uciszyła wzrokiem. Wielhorski zaczął grać. Był w świetnym nastroju, kawałek jeden za drugim wybiegał z pod jego niestrudzonych palców, a carowa stała ciągle i trzymała filiżankę roztargnionego wirtuoza.

Na to wszedł car Mikołaj.

— Proszę, Sire, szepnęła pocichu, potrzymaj trochę filiżankę pana Wielhorskiego.

Mikołaj wtajemniczony przez żonę w zabawną sytuację, wziął udział w żarcie. Zabawna scena się przedłużała, prawie przez godzinę, Wielhorski grał, a car z carową naprzemiany trzymali filiżankę za plecami wirtuoza.

Wreszcie wstał.

— Proszę, rzekła carowa, weź hrabio swoją filiżankę bo mi już ręka zdrętwiała.

* * *

Broda Franciszka Smolki.

Znakomity mąż stanu Franciszek Smolka odznaczał się wspaniałym zarostem, który przeszedł w legendę. Już w roku 1848 marsowa postać polskiego spiskowca fascynowała tłumy na barykadach wiedeńskich, a przerażała biurokrację. Zrobił przedewszystkiem furorę swoją legendarną brodą. W lot puszczono w obieg czterowiersz, który cały Wiedeń umiał napamięć. Był istotnie udatny, a brzmiał jak następuje:

„Polens Unglück und sein Schnurrbart
Das sind seine Lebensfragen
Fast unmöglich für ihn ist es
Beides länger noch zu tragen.“

Opowiadają, że nie na żarty przestraszył się też Smolkowej brody młody Franciszek Józef I. Gdy Smolka przybył na czele deputacji, by się świeżo upieczonemu cesarzowi przedstawić, ten nie patrząc zrazu na członków. deputacji zaczął czytać tekst mowy. Wtem podniósł oczy i ujrzał przed sobą brodę Smolki i jego zawiesisty wyraz twarzy. Zmieszał się, przerwał czytanie, tak, że dopiero ks. Schwarzenberg w zastępstwie cesarza mowę dokończył. Nic też dziwnego że po zawieszeniu konstytucji reakcja skorzystała ze sposobności, i postanowiła zniszczyć... brodę Smolki. Osobnem rozporządzeniem policyjnem, rozkazano mu *«den demagogischen Bart»* ogolić. Rad nie rad musiał się biedny adwokat lwowski do tego zastosować i pojawił się pewnego pięknego poranku na ulicach Lwowa bez brody. Dopiero dyplom październikowy, przywracający konstytucję Galicji — przywrócił też brodę Smolce.

* * *

Ciętość Matejki.

Gdy Matejko ukończył Rejtana, dozwolił osobom znakomitym oglądać obraz w swej pracowni, zanim na publiczną wystawę na salę towarzystwa naukowego krakowskiego przeniesiony będzie. W liczbie tych ciekawych znalazł

się też hr. Adam Potocki, a spostrzegłszy na pierwszym planie Szczęsnego Potockiego i hetmana Branickiego, z widzenia ich nie był zadowolony. Żegnając się z artystą sucho wyrzekł: Dziękuję. Na co od artysty otrzymał również suchą odpowiedź: Przepraszam.

Księżna Władysławowa Sanguszkowa, wychodząc z pracowni artysty, również uprzejmie dziękowała mu i rzekła doń:

— „W czasie tak powszechnej biedy, jaka panuje, trudno będzie, aby w kraju znalazł się jaki amator, któryby dzieło to nabył, ale kupić to powinni... Moskale.“ Na to rzekł Matejko:

— Najwłaściwiej, Mościa księżno, bo kiedy dawniej kupili o r y g i n a ł y, to dla kompletu powinni nabyć i kopje.

(A. GRABOWSKI.)

* * *

Figle rozmaite.

Pani Kolbuszewska, idąc na teatr, wzięła też z sobą dla okazałości lokaja, któremu zapłaciła wstęp na galerję. Znalazł się on tam między wielu swymi kolegami, a ponieważ po raz pierwszy zdarzyło mu się być w teatrze, przeto bardzo dziwaczne swoim kolegom dawał pytania. W końcu przedstawienia zaczęto wywoływać aktorów po imieniu. „A to co?“ pyta nowicjusz swoich kolegów. „To każdy lokaj wywołuje teraz swego pana lub panią,“ powiedzieli mu żartując koledzy. On tedy z całego gardła począł wołać z mazowiecka: „Pani Kolbusewska! Pani Kolbusewska! ja tutaj!“

* * *

Pani jedna bujnego biustu, skarżyła się, iż katar spadł jej na piersi, na co jej odrzekł szwagier: „Nie potłucze się.“

* * *

Gdy pewnego razu marszałkowa księżna Czartoryska, uskarżała się na nieznośny smród, rozchodzący się od nóg stojącego za jej krzesłem, podczas obiadu, lokaja, ten z całą naiwnością rzekł: „Ach, cóżby dopiero księżna pani powiedziała, gdybym zdjął buty!“

* * *

— Podczas herbaty porównywała ks. Lubomirska stan mieszczański do naczyń z gliny, a arystokrację do porcelany. Gdy służący, przysłuchujący się tym wywodom, otrzymał rozkaz przyprowadzenia dzieci państwa do salonu, zawołał na Francuzkę:

— „Hej tam, naczynie gliniane! przyprowadzić do salonu małą porcelanę.„

* * *

— Szlachcic pewien niewymownie skąpy, jadąc, zwykł był zatrzymywać się w każdym dworze blisko drogi leżącym i tam dopominał się obiadu lub wieczerzy. Syn jego (lepszych obyczajów), gdy przybyli do jednego obywatela, rzekł: „Mości Dobrodzieju! proszę uważać, że mój ojciec wiele ma podobieństwa do Don Kichota“.

— Nie widzę tego, odpowiedział mu na to.

— Bardzo jasno, rzecze znowu syn, między nimi zachodzi tylko ta mała różnica, że Don Kichot wszystkie karczmy mienił być zamkami, a mój ojciec wszystkie zamki bierze za karczmy.

* * *

Szlachcic z zapadłej wioski na Podlasiu, będąc w Warszawie, posłyszał w towarzystwie, iż w teatrze ma być „Dziewica Orleańska“. „A czy też sama będzie bez rodziców?“ — zapytał uważając, iż nie przystoi to pannie. „Z matką tylko będzie — rzekł zapytany — gdyż ojciec zginął w pojedynku z Alcybiadesem.“ „Szkoda wielka — żałował poczciwy ziemianin — gdyż, jak mi się zdaje, tym samym co ja pieczętował się herbem i bodaj czy nie nasz kuzyn, jeśli tylko rodem z Podlasia.“

* * *

Pan Kiszka, Litwin, gdy się domagał na sejmie głosu, marszałek zapytał: „a pan Kiszka co?“ Ktoś z przytomnych zawołał: „taki flak, jako i drugi, póki go nie nadzieją.“

* * *

— Tęgo strzelasz panie arendarzu — mówi raz Sagatyński, wjeżdżając do karczmy, w której wrotach kula w samem czarnem tkwiła — drugi raz ci się tak nie uda!

— Dlaczego się tak niema udać — odrzecze żyd, czapkując, — ja J. pana nauczę, to i J. pana będzie trefer!

— Jakże to robisz? — powiedz.

— *Kinderspiel!* niech J. pan pierwej strzeli, a potem namaluje szwarc.

* * *

— U p. starosty Strutyńskiego był bardzo niezgrabny służący, który ciągle tłukł i psuł wszystko tak, że wkońcu cokolwiek stało się we dworze, wszystko zwalano na niego. Gdy raz p. starościna powiła dziecko i bardzo zachorowała, chwycił się biedaczysko za głowę, biadając z rozpaczą: „To mi dopiero kłopot — i znów pewnie powiedzą, że ja temu winien.“

* * *

— Do p. Rakowskiego, który słynął ze sknerstwa, przyjechał p. Strutyński, przywożąc ze sobą ślusarza. „Pocóż to wozisz pan sąsiad ze sobą ślusarza?“ — zapytał sknera. — „Bo u Waści zapodziewają się gdzieś zawsze klucze od piwnicy, więc wziąłem go, żeby nie było kłopotu, jak przyjdzie dobyć wina“ — odrzekł dowcipny gość.

* * *

Młodemu dziedzicowi, który objął majątek po zmarłych właśnie rodzicach, przedstawili się wszyscy oficjaliści. Między nimi był leśniczy, uderzająco podobny do nowego pana. Wpatrując się weń uważnie, rzekł dziedzic z dwuznacznym uśmiechem: — Jesteś pan zupełnie podobny do mnie, zapewne matka pańska często bywała we dworze moich rodziców.

— O tem nie słyszałem WPanie, wiem natomiast, że ojciec mój bywał codziennie na dworze jego matki.

* * *

— W pewnem towarzystwie szlacheckiem chwalili się obecni odwiecznością swych rodów.

— Wywodzę ród mój od XII w. — powiada jeden.

— Mój praszczur krył się z Bolesławem w Ojcowie — powiada inny.

— Wszystko to nic — odzywa się pewien dowcipniś — ja płacę do dziś procenty od pożyczki, którą zaciągnął mój prapradziad, gdy z trzema królami wybrał się do Betlejem.

* * *

— Pewien przechodzień, widząc kondukt pogrzebowy, zapytał dowcipnisia Bykowskiego, czy nie wie czasem, kogo chowają? — Nie wiem napewne — odrzekł dowcipniś — ale zdaje mi się, że tego tam w trumnie.

* * *

— Szlachcic zagonowy podlaski przyprowadził na jarmark szkapisko wielkie, stare jak świat i chude jak szczapa, co widząc jakiś kupiec na konie, zapytuje owego szlachcica: „A po czemu waćpan chce za łokieć tej kobyły?“ Na to szlachcic, podnosząc szkapie ogon do góry, odpowie bez namysłu: „Proszę wejść do sklepu, to się pan tam dowie o cenie.“

* * *

— Młodego powstańca postawiono na straży przy armatach w polu. Zimno było dokuczliwe, a ciepła karczemka tuż opodal. Poszedł więc rozgrzać się, ale na nieszczęście swoje spotkał się tam z oficerem służbowym, który ostro go zapytał, jak śmiał opuścić stanowisko. Nie tracąc fantazji, odpowiedział: — Jeden człowiek nie uniesie armaty, więc niema się czego obawiać, a gdyby przyszło więcej, to i tak nie dałbym im rady.

* * *

Po zajęciu Małopolski przez Austrję, rząd wiedeński starał się zjednać sobie szlachtę zapomocą orderów i tytułów, za które wszelako kazał sobie słono płacić. Zdarzyło

się, że cesarz Józef II. nadał tytuł hrabiowski Stanisławowi Wybranowskiemu, o czem go uwiadomiono sążnistym dyplomem w języku niemieckim. Szlachcic nie znający niemczyzny, niewiele myśląc odesłał pismo zpowrotem, dodawszy następujący przypisek:

Odebrałem nie wiem co,
Odpowiadać nie mam na co,
A zapłacić nie mam za co.
Wybranowski.

* * *

Za czasów księstwa warszawskiego, znana była szeroko p. Tyszkiewiczowa, siostra księcia Józefa. Jakkolwiek miała tylko jedno oko, była bardzo zalotna. Łączył ją długoletni stosunek miłosny ze sławnym Talleyrandem, który jak wiadomo kulał na jedną nogę. Pewnego razu, gdy Talleyrand wszedł do pokoju, Tyszkiewiczowa zapytała:

— Jak się miewasz, książę?

— Tak jak Pani widzi — odrzekł z ironicznym uśmiechem dyplomata.

* * *

— Książę Józef Poniatowski miał zjechać na sejm do Lublina. Na przyjazd jego chciano urządzić bal, a na dzień przybycia iluminację. Zajęcie się tem powierzono panom: Wołowiczowi, posłowi mazowieckiemu i Cieleckiemu, posłowi sieradzkiemu. Postanowili oni wieżę fary ubrać w lampy, a na samym szczycie umieścić wielki transparent z herbem Poniatowskich (Ciołek.) Kiedy ciągnięto transparent na górę, sznur pękł, transparent lampy potłukł i spadłszy na ziemię, odwrócił się. Na ten wypadek jakiś dowcipniś ówczesny, napisał wiersz następujący:

„Wół mazowiecki i sieradzkie ciele
Chcieli uczcić Ciołka na farnym kościele,
A on im zato taką dał zapłatę,
Że na nich wypiął tylną facjatę
I powiedział: za tych lampów kupę
Kolejno oba całujcie mię w d...“

Około r. 1820 niejaki pan Rozwadowski z Podola dowiedział się o pewnym płynie, którym posmarowawszy rękę lub twarz, żadnym sposobem zmyć go nie można. Natychmiast postanowił użyć tego środka na urzędników niemieckich, którzy byli plagą Galicji. Przygotował tedy znaczną ilość wysokich tyczek, mogących dosięgnąć piątrowych okien, na jednej osadził krzywo pędzel, na drugiej obręczyk; zebrał kilku towarzyszy i wieczorem poszli z tyczkami, w godzinie, w której regularnie zasiadali w swoich gabinetach. Jeden tyczką z obręczkiem, w okno na piętrze stukał. Niemiec nie rozumiejąc, co znaczyło stukanie zdziwiony, otwiera *„was ist das?“* wystawia głowę, a drugi natychmiast pędzlem go po twarzy smaruje i tak bardzo wielu pomalowanych zostało. Obmyć się żadnym sposobem nie mogli, dlatego z domu nie wychodzili. Długo byli tak poznaczeni po twarzy i dowiedzieć się nie mogli, jak się stało i kto to zrobił.

(E. HELLENIUSZ.)

* * *

W resursie kupieckiej w Warszawie bywały obiady, do których zasiadało kilkadziesiąt osób; korzystano niemal z każdej sposobności. Przemawiano na nich prozą i poezją, a ulubionym mowcą był mecenas przy senacie, Wincenty Majewski, wymowny i dowcipny, a przytem zacny człowiek. Raz na takim bankiecie, kiedy Majewski długo milczał, radca Marcin Badeni wstał i podnosząc kielich rzekł:

„Gdzie są wielkie brytany, są i małe pieski,
Niech żyje mecenas Majewski!“

Bez namysłu wstał Majewski i odpowiedział:

„Niejeden piesek brytanem się mieni,
Niech żyje radca Badeni!“

Ogólne powstały oklaski przy stole, nawet Badeni bił w dłonie.

* * *

Katarzyna II. założyła się o sto tysięcy rubli z księciem Henrykiem Pruskim, który w celach rozbioru Polski bawił w Petersburgu, iż każe go zawieźć w 48 godzin do Moskwy na karnawał, który tam był szczególnie świetny, a już się zbliżał ku końcowi. Książę, wiedząc, że z Petersburga do Moskwy liczą 725 wiorst (108 mil niemieckich), był pewny, że zakład wygra, czego w gruncie rzeczy chciała i cesarzowa i szukała tylko sposobności, by w delikatny sposób zrobić z tej sumy prezent swemu gościowi. Kazała ona jednak zawołać naczelnika poczty i zapytała go: — Czy można zawieźć księcia z Petersburga do Moskwy w 48 godzin?

— „Jeżeli rozkażesz Najj. Pani, to wola twoja musi być spełniona. Ciało jego z pewnością tam przybędzie, ale za duszę nie odpowiadam." — „W takim razie urządź tak, aby podróż trwała 54 godzin i aby książę na tem nie ucierpiał."

Tak się stało. Książę jechał 54 godzin kibitkami, wygrał zakład i wziął 100.000 rubli.

* * *

W liczniejszem towarzystwie wyraził się pewien wyższy oficer rosyjski, że gdyby miał głupiego syna, oddałby go na księdza. Obecny przy tem O. Bernardyn odezwał się nato spokojnie:

— Najwidoczniej rodzice pańscy inaczej myśleli, kiedy oddali pana do wojska.

* * *

Szlachcic z prowincji przyjeżdża do wojewódzkiego miasta i wstępuje do sklepu, nad drzwiami którego widniał napis: „Pod dwoma małpami". Chcąc sobie zakpić z właściciela, pyta go o wspólnika, z którym chciałby się widzieć. „Nie mam wspólnika, sam jestem właścicielem tego sklepu", odpowiada kupiec. „Aha, to pan jesteś sam! dlaczegoż więc na godle napisane „Pod dwoma małpami"? — odpowiada szlachcic.

* * *

W ostatnich latach dawnej Rzeczypospolitej, głośnym był na Litwie z kawałów nieprzeliczonych i dowcipów pan chorąży Nietyksa. Nawet w ostatniej chwili żywota dowcip go nie opuścił. Bo gdy już był *in extremis*, konający prawie i mówiono, że ludzi nie poznaje, nadjechał JW Pan Łopot, sąsiad Nietyksy odwieczny, człowiek poczciwy ale ograniczony, z którego on też zawsze żarty sobie stroił, lubo cały wiek w przyjaźni przeżyli. Chciał tedy JW Pan Łopot wejść do pokoju umierającego przyjaciela. Służący zastępuję mu drogę.

— Niema Pan poco iść — mówi — do mego Pana, bo już i nie poznaje nikogo.

— At! co mi tam gadasz — huknął gość — żeby mię nie poznał? ot to!

— Ale tak, proszę pana — twierdził sługa — nie poznaje nikogo.

— To nie może być! — wykrzyknął przybyły, a wpakowawszy się do pokoju, stanął nad głową chorego i zniżając głos — jak sądził — aż się szyby zatrzęsły zawołał:

— Panie chorąży, czy poznajesz mię?

Nietyksa podniósł powoli ociężałe powieki, popatrzył chwilę i gasnącym już, cichym, odrzekł głosem:

— Poznaję.

— Któż ja jestem? pyta przyjaciel.

— Kiep... — wyszeptał chorąży i w tej chwili skonał.

To były jego ostatnie słowa.

Utrzymywano później powszechnie, że pan Nietyksa umierając, wybornie ludzi poznawał.

* * *

Kiedy nastała za czasów rokoka moda zmieniania imion niewieścich, wówczas i pani Osuchowska z Petroneli przezwała się *Delicją*. List z takim podpisem otrzymał też p. Nietyksa. Niewiele myśląc podpisał się w odpowiedzi: *„Specjał Nietyksa“*.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Wydawnictwa Spółki Nakładowej „ODRODZENIE“
Lwów, ul. Zimorowicza 11—15.

Książki dla dzieci i młodzieży bogato ilustrowane i kartonowane.

H. Zbierzchowski: OCZYMA DZIECKA.
Prześliczne powiastki wiersz. dla naszych milusińskich bogato a przystępnie ilustrowane. . . . . Mk. 140·—
W. Młodnicka: NA MURMANIU . . . . „ 160.—
„ „ TRUPA CAVALETTI . . . . „ 200·—
„ „ O NASZYCH GÓRACH
Opowiadania ulubionej autorki rzeszy dziecięcej, nieobciążone balastem moralizatorskim i naukowym, a jednak zajmują dzieci, bawią i uczą. Ozdobione licznemi i pięknemi ilustracjami. . „ 200·—

Dzieła rolnicze i gospodarcze.

L. Weber: HODOWLA PSZCZÓŁ WEDŁUG NOWOCZESNYCH ZASAD PSZCZELN. (150 ilustracyj).
Wyczerpujący i na naukowych podstawach oparty podręcznik pszczelarstwa niezbędny dla wszystkich, którzy chcą i mogą stworzyć dla siebie i dla kraju źródło bogactwa i dobrobytu. Książka ta stojąca na poziomie europejskim i będąca chlubą gospodarczej literatury polskiej przewyższa wszystko, co dotychczas w tej dziedzinie się okazało gruntownem znawstwem i wyczerpaniem tematu. . . . . Mk. 400 —
L. Weber: WYRÓB MIODÓW PITNYCH . . . . „ 40·—
Dr. W. Kubik: UPRAWA PÓL I OGRODÓW PODMIEJSKICH . . „ 60·—
W. Dalkiewicz: W KWESTJI GRUŹLICY U BYDŁA . . . . . . „ 20·—

Podręczniki szkolne i naukowe.

Prof. S. Matusiak: WIADOMOŚCI Z PEDAGOGIKI I DYDAKTYKI, wydanie nowe przerobione i uzupełnione
Jedyny zalecany przez władze szkolne podręcznik pedagogiki i dydaktyki dla seminarjów nauczycielskich i liceów . — . . Mk. 180 —
Dr. F. Konieczny: AUSTR. KODEKS CYWILNY . . . . „ 200·—
Dr. J. Rappaport-Rodkowski: PANDEKTA (ZOBOWIĄZANIA) (część ogólna i szczegółowa) . . . . „ 150·—

Różne.

Fr. Barański: W co się bawić będziemy? Tom I. GRY I ZABAWY POKOJOWE, przeszło 200 zabaw . . . . Mk 250·—
Fr. Barański: W co się bawić będziemy? Tom II. GRY I ZABAWY NA WOLNEM POWIETRZU, ponad 150 zabaw.
Podręcznik obejmujący w swoich dwu tomach wszystkie możliwe zabawy towarzyskie i sportowe zarówno dla dzieci począwszy od wieku niemowlęcego jak i dla dojrzałych. Niezbędny w każdem kółku rodzinnem, w każdem towarzystwie. „ 220·—

Wydawnictwa Spółki Nakładowej „ODRODZENIE“
Lwów, ul. Zimorowicza 11—15.

BIBLJOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH.

Cena utworów w 1 akcie Mp. 30·—
„ „ dwuaktowych „ 60·—
„ „ trzy i więcej aktowych „ 80·—

Bjӧrson. Nowożeńcy, komedja w 2 aktach.
2. **Fredro J. A.** Kalosze, komedja w 1 akcie.
*3. **Alfred de Musset.** Kaprys, komedja w 1 ak.
4. **Bliziński J.** Przezorna mama, kom. w 3 ak.
5. Na wędkę, komedja w 1 akcie.
*6. **Zalewski K.** Spudłowali, komedja w 1 ak.
*7. **Bliziński J.** Pan Damazy, komedja w 4 ak.
*8. **Delacour i Roger.** Zarzutka balowa, kom. w 1 akcie.
9. **Labiche i Martin.** Podróż pana Picheron, komedja w 4 aktach.
10. **Eyraud A.** Panna Pivert, kom. w 2 ak. z franc.
11. **Bliziński J.** Mąż od biedy, kom. w 1 akcie.
12. **Bałucki.** Teatr amatorski, kom. w 2 aktach.
13. **Labiche i Delacour.** Wróble, kom. w 3 ak.
14. **Bliziński J.** Chleb ludzi bodzie, kom. w 1 ak.
15. **About E.** Morderca, kom. w 1 ak, z franc.
17. **Bliziński J.** Marcowy kawaler, krotochwila. w 1 akcie.
18. **Dejski M. A.** Miodowe miesiące, komedja w 2 aktach.
*19. **Mailhac i Halevy L.** Pałacyk, komedja w 1 akcie z franc.
20. **Sulislaw.** Po kweście, fraszka w 1 akcie.
*21. **Wdowiszewski W. J.** Takich więcej, kom. w 2 aktach.
22. **Bliziński.** Rozbitki, komedja w 4 aktach.
23. **Mozer.** Tatuś pozwolił, komedja w 1 akcie.
24. **Madejski L.** Sto tysięcy (Jeden kroć), kom. w 1 akcie.
25. **Labiche.** Moja córeczka, kom. w 1 akcie. przeł. Walewski.
*26 **Bałucki M.** Dom otwarty, kom. w 3 aktach.
27. **Gondinet E.** Skowronek, kom. w 1 akcie.
*28. **Gozlau L.** Chwała Bogu, stół nakryty, kom. w 1 akcie.
29 **Dobrzański St.** Złoty cielec, kom. w 1 ak.
*30. — Tajemnica, fraszka scen. w 1 odsł.
31. — Podejrzana osoba, kom. w 1 akcie.
32. **Bliziński J.** Ciotka na wydaniu, komedja w 1 akcie.
33. **Dobrzański St.** Onufry, kom. w 1 akcie.
34. — Kajcio, komedja w 1 akcie.
*35. **Labiche E.** Zaślubiny z przeszkodami, komedja w 1 akcie.
36. **Belly G.** Żywy nieboszczyk, kom. w 1 ak.
37. Filiżanka herbaty, kom. w 1 akcie z franc.
38. **Murgier H.** Przysięga Horacego, komedja w 1 akcie.
40. **Bliziński J.** Opiekun w zalotach, komedja w 2 aktach.
*41. **Przybylski Z.** Wicek i Wacek, kom. w 4 ak.
43. Monologi, zeszyt pierwszy.
*44. **Bałucki M.** O Józię, fraszka scen. w 1 ak.
45. **Pieniążek Cz.** Na przystanku, kom. w 1 ak.
46. — Biały wachlarz, komedja w 1 akcie.
47. Monologi, zeszyt drugi.
48. **Gondinet E.** Tyran z miłości, kom. w 1 ak.
*49. **Madeyski.** Ciocia Femcia, kom. w 1 akcie.
*50. Monologi, zeszyt trzeci.
*51. **Bałucki M.** Kuzynek, komedyjka w 1 akcie.
52. — Bilecik miłosny, kom. w 1 akcie.
53. **Walewski A.** Koniki polne, kom. w 3 ak.
54. **Koziebrodzki Wł. hr.** Reprezentant domu Müller i Sp., komedyjka w 1 akcie.
55. **Gregorowicz J. K.** Werbęl domowy, obrazek ludowy ze śpiewkami w 1 akcie.
56. **Rosen.** W mamusi oczach, kom. w 1 akcie.
57. **Koziebrodzki Wł. hr.** Stryj przyjechał, kom. w 1 akcie.
58. **Walewski A.** Między nami nic nie było, komedja w 1 akcie.
59. **Abrahamowicz A. i Ruszkowski.** Nowa Francillon, komedja w 1 akcie.
60. **Abrahamowicz A.** Pupil pupila, kom. w 1 ak.
*61. **Pailleron.** Iskierka, w 1 akcie.
*62. **Claar E.** Samson i Dalila, kom. w 1 akcie.
*63. Monologi, zeszyt czwarty.
64. **Dobrzański St.** Wujaszek Alfonsa, komedja w 1 akcie.
*65. — Żołnierz królowej Madagaskaru, komedja w 3 aktach.
66. **Popławski i Golański.** Pokój do wynajęcia, komedja w 1 akcie.
67. **Ruszkowski R.** W Szczawnicy, kom. w 1 ak.
Dreyfus A. Pan i Pani, kom. w 1 akcie.
68. **Madeyski L.** Albo niebo, albo piekło, kom. w 1 akcie.
*69. Zapraszam pułkownika, kom. w 1 akcie.
70. Dialogi estradowe, zeszyt I.
*71. **Rapacki W.** W starym piecu djabeł pali, komedja w 1 akcie i Monolog zakochanej.
72. **Nagoda.** Uroki, komedja w 1 akcie.
*73. **Fredro Aleks.** Świeczka zgasła, kom. w 1 ak.
74. **Labiche.** Nie mam czasu, kom. w 1 akcie.
75. Jeden z nas musi się ożenić, kom. w 1 ak.
76. **Bobrowski hr.** „Gogo“ (Nie mów hop, aż przeskoczysz), komedja w 1 akcie.
77. **Mirgorodzki.** I wierz tu kobietom, kom. w 1 akcie.
*78. Pociąg Nr. 12, kom. w 1 akcie z franc.
*79. Nr. 36 i 37, komedja w 1 akcie z franc.
80. Monologi, zeszyt piąty.
*81. **Walewski A.** Na cel dobroczynny, kom. w 1 akcie.
*82. Gruba partja, komedja w 1 akcie.
*83. **Sewer.** Dla świętej ziemi, sztuka ludowa w 4 aktach.
*84. **Walewski A.** Farbiarze, kom. w 4 aktach.
85. **Rojan.** Poczciwiec, komedja w 1 akcie.
86. **O. S. S.**, czyli wyprawa ślubna, kom. w 1 ak.
*88. **Berton P.** Ciężka próba, kom. w 1 akcie.
*89. **Meilhac i Halevy.** Przejście Wenery, lekcja astronomji, komedja w 1 akcie
90. Monologi, zeszyt szósty.
*91. **Czechow.** Niedźwiedź, komedja w 1 akcie.
93. **Siraudin.** Trzy kapelusze, kom. w 1 akcie. z prologiem.
94. **Pailleron E.** Ostatnia kwadra, kom. w 1 ak.
95. **Bolesławicz.** Dobrodziej, obrazek dram. w 1 akcie.

Odbito czcionkami drukarni Stanisława Chowańca w Stanisławowie.